

Włodzimierz Perzyński

LEKKOMYŚLNA SIOSTRA

Komedia w czterech aktach

We Lwowie — 1907.

Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego
Warszawa E. Wende i Sp.

OSOBY:

HENRYK TOPOLSKI, przemysłowiec

HELENA, jego żona

JANEK TOPOLSKI

WŁADYSŁAW

MARYA, żona Władysława, siostra Topolskich

ADA, kuzynka Topolskich

OLSZEWSKI.

LOKAJ

Rzecz dzieje się w Warszawie.

AKT I.

Salon w mieszkaniu Topolskich. — Umeblowanie zamożne, ale szablonowe. W głębi i po prawej stronie drzwi. Z lewej strony na pierwszym planie niewielki okrągły stolik, zarzucony książkami i albumami, przy nim dwa fotele. W chwili podniesienia kurtyny Helena na scenie sama. Wygląda przez okno na ulicę. Jasny, słoneczny dzień.

Scena pierwsza.

HELENA — TOPOLSKI.

TOPOLSKI

(wchodzi pośpiesznie do pokoju z listem w ręce).

Wiesz od kogo otrzymałem ten list?

HELENA.

Nie, skądże?

TOPOLSKI.

Nie poznałaś po piśmie?

HELENA.

Prawda, że wydało mi się znajomem, ale poznać nie mogłam. Mów od kogo, bo zaczynam się już niepokoić.

TOPOLSKI.

Hm... Od Mani.

HELENA.

Od jakiej Mani? A!

TOPOLSKI.

Tak... I w dodatku pisany z hotelu. Wyobraź sobie, że przyjechała.

HELENA.

Jakto? Do Warszawy.

TOPOLSKI.

Jest od wczoraj.

HELENA.

To niemożliwe.

TOPOLSKI.

Niemożliwe... Widocznie, że możliwe skoro jest. Masz, przeczytaj.

(Zakłada ręce i zaczyna nerwowo chodzić po pokoju.)

Za dzieckiem się stęskniła. Rychło w czas przypomniało jej się.

HELENA

(przerywając nagle czytanie).

To ludzkie pojęcie przechodzi!... Ona chce tu być!

TOPOLSKI.

Tak.

HELENA.

To bezczelność. Inaczej już nazwać nie można. Bezczelność, na którą tylko taka kobieta się zdobędzie. *(Rzuca list).* Brrr... List jej wzięłam do ręki, a mam takie wrażenie, jakbym się żmiji dotknęła.

TOPOLSKI

(siada na fotelu, głowę opiera na ręce).

Co za wstyd! Co za wstyd! Jutro znowu całe miasto będzie o tem mówiło.

HELENA.

O, z pewnością!... Przecież ta pani nie zechce się krępować... Jeżeli już nie zrobiła jakiego skandalu... Taka się z niczem nie liczy.

TOPOLSKI

(wstając z fotelu)

I co począć teraz?

HELENA.

Jakto co? Przecież na to, aby do nas przyszła, nie pozwolimy chyba. Przynajmniej ja nie pozwolę.

TOPOLSKI

(po chwili milczenia).

Pisze, że chce się ze mną koniecznie zobaczyć.

HELENA.

I ty miałbyś zamiar widzieć się z nią?

HELENA.

To niesłychane! Ona z wizytą w naszym domu. Ja doprawdy nawet spokojnie o tem myśleć nie mogę. *{Podchodzi i bierze męża za rękę i przykładą jego dłoń do policzka}*. Widzisz, jakie mam wypieki na twarzy... A ty jeszcze jej bronisz?

TOPOLSKI.

Jakto bronie?... Przez myśl mi nie przeszło...

HELENA.

Powiedziałeś przed chwilą: bądź co bądź to siostra.

TOPOLSKI

(macha beznadziejnie ręką).

HELENA.

I ona w Wiedniu... tak... z pierwszym lepszym... byle miał pieniądze?

TOPOLSKI

(czyni jakiś niewyraźny ruch ręką).

HELENA.

Wyobrażam ją sobie. Czy to prawda, że włosy przemalowała na rudo?

TOPOLSKI.

Moja Helenko, masz też o czym myśleć. A niech sobie maluje na rudo, czy na zielono, co ciebie to obchodzi? Gorzej, że jej się zachciało tu przyjechać.

HELENA.

Czy Władysław wie już o tem?

TOPOLSKI.

Nie widziałem się z nim. Przypuszczam, że może i do niego napisała.

HELENA.

Trzebaby go zawiadomić... Ostatecznie, to przedewszystkiem jego sprawa. On jest ojcem dziecka, i on tylko może postanowić, czy... "ta pani" ma się z Kaziem widzieć. Według mnie nie byłoby sensu pozwalać. To przecież tylko komedia z jej strony. Prostu chciała nam dokuczyć.

TOPOLSKI.

A może się i za dzieckiem stęskniła... Kto ją wie... zawsze była szalona.

HELENA.

Ty w to wierzysz, że ona potrafi tęsknić?

TOPOLSKI.

Niech ją Pan Bóg sędzi... Ale co najgorsze, to że przyjechała właśnie teraz.

HELENA

(podnosi z ziemi list i odczytuje go powtórnie).

TOPOLSKI.

Czy ja wiem? Bądź co bądź to siostra...

HELENA.

Tak. Ale jeżeli jeszcze się do pokrewieństwa poczuwasz, jeżeli ona jest twoją siostrą, to ja jestem twoją żoną i mam także pewne prawa... O wszystko zresztą mniejsza, ale mogę wymagać, żebyś mnie szanował.

TOPOLSKI.

Helu, czego ty się odrazu unosisz? Ja jestem tak zgnębiony, że mało mi głowa nie pęknie... Od samego rana tyle mam dziś kłopotów i to jeszcze na dobitkę.

ak ten list jest pisany... "Muszę się z tobą widzieć, muszę się widzieć z dzieckiem... nie możecie mi tego zabronić"... Tu jakiś wyraz zupełnie zamazany. Ona musiała być chyba pijana jak to pisała.

TOPOLSKI

(po chwili milczenia).

Jak się pokaże kilka razy na mieście, wszyscy zaczną o niej mówić... Hm... interesa mam teraz tak powikłane...

HELENA.

To ci może zaszkodzić...

TOPOLSKI.

I co za wstyd! Ostatecznie, ktoś nie wie, że jest moją siostrą ?

HELENA.

Ja, dopóki ona tu będzie, nie odważę się wyjść na ulicę... Rozkoszne pokrewieństwo... niema co mówić.

TOPOLSKI.

Trzeba, żeby jak najprędzej wyjechała.

HELENA.

A czy przez policję takiej z miasta wypędzić nie można?

TOPOLSKI.

Dajżeż pokój.

HELENA.

Czegóż się gniewasz?... mojem zdaniem, byłoby to zupełnie naturalne. Wobec tego rodzaju istot należy być bezwzględny.

TOPOLSKI.

Ale cóż za pomysł! A gdyby nawet było możliwe, toby się na nic nie zdało. Skandal by się tylko powiększył. Wiesz, że ona nie ustąpi.

HELENA.

Ja bo od pierwszego wejrzenia czułam do niej jakąś nieprzepartą odrazę... Dla ciebie się przezwyciężyłam... I nie omyliło mnie przecucie... Wiedziałam, że to się tak skończy... Te jej oczy!... Oh! W nich dużo można było wyczytać..

TOPOLSKI

— —

HELENA.

A gdy jej tak przyjdzie ochota osiedlić się na stałe w Warszawie ?

TOPOLSKI.

Ee...

HELENA.

Czemu nie! Przy jej bezczelności...

TOPOLSKI.

Nie... nie... nie...

HELENA.

Może się już temu hrabiemu sprzykrzyła i pragnie tu szukać szczęścia?

TOPOLSKI.

Ale...

HELENA.

Coś jednak koniecznie trzeba poradzić... przecież ona zostawać tutaj nie może.

TOPOLSKI.

Z Władysławem muszę się porozumieć.

HELENA.

Koniecznie., żeby jak najprędzej wyjechała... Ja myślę, że skoro już tak pragnie się z tobą zobaczyć, no to może idź do niej... niech ci powie o co jej chodzi i niech się zabiera. Tak... tak... idź!

TOPOLSKI.

To będzie najlepiej.

HELENA.

I na Władysława trzeba wpłynąć, żeby od razu pozwolił na *to* widzenie się z dzieckiem. Im prędzej, tem lepiej. Idź do niego!

TOPOLSKI.

Teraz?

HELENA.

A ma się rozumieć. Przyrowadź go do nas.

TOPOLSKI.

Dobrze

(spogląda na zegarek).

W tej chwili zastanę go w domu, za jakieś pół godziny najdalej będziemy *(wychodzi)*.

HELENA

(po wyjściu męża czyta jeszcze raz list, ogląda go pod światło, jak gdyby chcąc odcyfrować przekreślone wyrazy, potem nagle zbliża się do małego stoliczka, otwiera szufladkę, przerzuca jakieś papiery i wyjmuje gabinetową fotografię Maryi. Przez kilka chwil przygląda się jej uważnie, wzrusza ramionami uśmiecha się wzgardliwie i rzucając fotografię napowrót do szuflady, szepcze półgłosem):

Dziwny gust.

(W tej chwili w przedpokoju słychać dzwonek).

HELENA.

A!

(gwałtownie rzuca się ku drzwiom. Jednocześnie na progu ukazuje się Janek Topolski w kapeluszu i w palcie).

Scena druga.

HELENA JANEK TOPOLSKI.

HELENA.

To ty! Jezus Maryja! Tak się przestraszyłam... Zdawało mi się, że to wasza siostra.

JANEK

(spogląda na nią zdziwionym wzrokiem).

HELENA.

Jakto? Więc jeszcze nic nie wiesz?... Przyjechała.

JANEK.

Ona! Do Warszawy?

HELENA.

Tak... Przed chwilą Henryk dostał list od niej. Chce się nibyto widzieć z nim i z dzieckiem.

JANEK.

Dobrze idzie, coraz lepiej. *(Zdejmuje kapelusz i palto i kładzie je na fotelu).*

HELENA.

O masz, tu jest ten list...

JANEK.

Kochana siostrunia, muszę jej podziękować.

HELENA.

Nie chcesz?

JANEK.

A co mnie jej list obchodzi?...

HELENA.

Cóż ci się stało?

JANEK.

No co... Wszystko dyabli wzięli.

HELENA.

Nie rozumiem.

JANEK.

Dostałem kosza! Radosławscy poprostu wyrzucili mnie za drzwi... A też trzeba się było pod złą gwiazdą urodzić.

HELENA.

A jej! *(załamuje ręce)* I cóż ci powiedzieli?

JANEK.

Co mi mieli mówić? Nic mi nie powiedzieli... Ale to przez nią. Ostatecznie kuzynostwo z taką panią nikomu nie pochlebia, a Radosławscy mają jakieś głupie, urojone, arystokratyczne pretensje. Wprawdzie my do lepszej arystokracji możemy się zaliczać, bo hrabia Ottokar Stieglitz von Arnim, członek austriackiej Izby panów, to nie pan Radosławski, ale... Psiakrew!

HELENA.

Hrabia Ottokar Stieglitz von Arnim... Czy to prawda, że on taki szalenie bogaty?

JANEK.

Odemnie ma więcej, to pewno.

HELENA.

Ale on ma już podobno sześćdziesiąt ośm lat... Nie!... wszystko rozumiem, tylko nie to, jak kobieta może się takiemu starcowi sprzedawać... Pomijam już wstyd, honor, bo ona tego nie ma, ale sam wstręt... Brrr (*wstrąsa się*). Wyobrażam sobie, jaki on musi być cały pomarszczony.

JANEK.

A co mnie to obchodzi czy gładki, czy pomarszczony... Ja mam teraz co innego na głowie (*siada w fotelu*). Państwo Radosławscy... arystokracja... Dziadek miał szynk w miasteczku i chłopom na lichwę pożyczał, a matka żydówka.

HELENA.

A cóż Marynia?

JANEK.

Idyotka.

HELENA

(*wybuchła śmiechem*).

JANEK.

Czegóż ty się śmiejesz? Także ci się na humor zebrało!

HELENA.

Nie gniewaj się... Ja cię bardzo żałuję... Ale tak zabawnie to powiedziałaś... I wczoraj jeszcze zapewniałaś nas, że Marynia jest jedyną kobietą wartą kochania i tak broniłaś Radosławskich.

JANEK.

Bo się łudziłem. Myślałem, że jest wartą kochania i kochałem ją całym sercem... Alem się rozczarował... Bo gdyby miała jakikolwiek charakter, toby się mogła oprzeć woli rodziców i w końcu postawić na swoim... A ona tak jak chorągiewka na dachu: kazali jej zerwać, zerwała, każą wyjść za innego, wyjdzie. Cielę! Ja jej dałem wszystko, co miałem najlepszego w sobie i myślałem, że ona będzie umiała to ocenić... Prawdziwa kobieta jak kocha, to się i poświęci i znajdzie w sobie siłę do zwyciężenia przeszkód... A Radosławskich broniłem przez... przez... przez solidarność rodzinną.

HELENA.

Tak., swoją drogą to trochę nieładnie z jej strony,. Tak cię niby kochała... Choć musisz sam przyznać, że to położenie ciężkie... Nie każda kobieta umie tak cierpliwie wszystko znosić jak ja.

JANEK.

O!

HELENA.

A cóż ty myślisz? To wcale nie jest do pozazdrosczenia.

JANEK.

Wiem, wiem, wiem... Dajmy już temu spokój! ja myślę, kto teraz moje długi popłaci... Tak liczyłem na to małżeństwo.

HELENA.

Tyś tak strasznie zadłużony?...

JANEK.

Teraz po prostu mam nóż na gardle.

HELENA.

Mybyśmy ci jak najserdeczniej pragnęli pomóc, ale wiem, że Henryk sam jest w nieszczególnych interesach... I boi się nawet, żeby mu przyjazd tej... waszej siostry nie zaszkodził teraz...

JANEK.

Pocóż ona przyjeżdżała... Pokaż ten list (*czyta*). Hm... ciekaw jestem, co ma do Henryka za interes... Czy on tam poszedł?

HELENA.

Nie... Posłałam go po Władysława... Zaraz tu przyjdą... Trzeba będzie coś postanowić, żeby ta pani jak najprędzej wyjechała.

(*Słuchać dzwonek*).

O, to pewno oni.

JANEK.

A może chce do Władysława wrócić?

HELENA.

Dziwiłabym się Władysławowi. (*Drzwi się otwierają wchodzi Ada*).

Scena trzecia.

HELENA — JANEK — ADA.

HELENA.

Jak się masz Ada, wiesz co się stało?

ADA.

Właśnie przychodzę do was, myślałam, że jeszcze nic nie wiecie. Jak się masz Janku! Wczoraj przyjechała!

HELENA.

Tak, dostaliśmy dziś list od niej. To jest Henryk dostał.

ADA.

Cóż pisze? Masz ten list?

HELENA.

Zaraz... Ty go czytałeś, Janek.

JANEK.

Leży na stole.

ADA.

Co za skandal. Jakiśmy się dziś rano dowiedziały o tem, mama tak strasznie się rozplakała, że jej uspokoić nie mogłam... Ja dorożką przyjechałam do was... Wstyd mi było pokazać się na ulicy... Zdawało mi się, że mnie wszyscy będą palcami wytykali.

HELENA.

O i ja, dopóki ona tu będzie, nigdzie się nie pokażę.

ADA.

Jakie to pismo... jej już ręce muszą się trząść.

JANEK.

Wam się w głowach trzęsie *{wstaje z fotelu}*.

ADA.

Cóż to za dowcip ?

JANEK.

Słuchaj, Helu, jest w kredensie koniak?

HELENA.

Jest koniak, szynka, zadzwoń na służącą, to ci poda.

JANEK

(wychodzi.)

Scena czwarta.

HELENA — ADA.

HELENA.

On jest biedak strasznie zdenerwowany, ma znów swoje zmartwienie. Radosławscy dali mu kosza...

ADA.

Nie może być... Przecież wszystko było już na dobrej drodze.

HELENA.

Przyszedł do nas wściekły... Nie wiem, jak to się stało, bo mi nie chciał mówić. Ale to z powodu siostry.

ADA.

Biedny chłopak, żal mi go serdecznie. Taki był zakochany w tej Maryni.

HELENA.

Eh, mnie się zdaje, że on nie tyle w niej był zakochany, co w jej posagu. Ale zawsze biedny. To małżeństwo mogło go na nogi postawić, a teraz... Wyobrażam sobie, jak się Henryk zmartwi... on tak pragnął, żeby się Janek z Radosławską ożenił.

ADA.

Ale koniec końców, dlaczego z nim zerwali?

HELENA.

Janek mówi, że to z powodu tej... siostry.

ADA.

Czyżby?

HELENA.

A ja mu najzupełniej wierzę... Bardzo możliwe. Janek temu nie winien, ale wiesz jacy są ludzie...

ADA.

Doprawdy to oburzające... Wierzyć się nie chce, że takie rzeczy są możliwe... 1 biedny Janek musi pokutować za swoją siostrę tak, jak gdyby to on...

HELENA.

A my czy nie pokutujemy?... Mówiłaś, że ci wstyd wyjść było dzisiaj... Ja się teraz nie pokażę na ulicy.

ADA.

Ale bo ty nie wiesz, co ona już wczoraj zrobiła.

HELENA.

No?

ADA.

Opowiadał mi Kaziak, że ją widział o trzeciej rano w kawiarni z jakimiś dwoma panami.

HELENA.

Co też ty mówisz?

ADA.

I była najzupełniej pijana, tak, że się aż zataczała. Prosiłam Kazika, żeby mamie tego nie powtarzał, bo nie wiem, coby się stało...

HELENA.

Od pierwszego wieczoru... Teraz dopiero zaczną się plotki znowu... Nie, ona musi stąd wyjechać, koniecznie musi wyjechać, choćby dziś jeszcze! Mężczyźni powinni się tem naprawdę zająć, szaleństwem byłoby zwlekać. Przecież ona każdej chwili może nas wszystkich na najokropniejszy wstyd narazić.

ADA.

Masz słuszość. Wobec takiej kobiety nie powinno się mieć najmniejszej wyrozumiałości. Ja też jestem jej cioteczną siostrą, a pomimo to nie wahałabym się drzwi jej pokazać, gdyby do nas przyszła.

HELENA.

Wiesz, że co kto zadzwoni, to mnie zimne dreszcze przechodzą. Wciąż mi się zdaje, że to ona.

ADA.

Nie odważyłaby się może...

HELENA.

Jak się upije... I wczoraj była tak zupełnie pijana?

ADA.

Kaziak mówi, że się zataczała.

HELENA.

Trzeba będzie Jankowi powiedzieć.

ADA.

Nie mów może... Będzie mu strasznie przykro... Wiem przecię, jak ich to do dziś dnia boli, gdy co o Mani powiedzieć.

HELENA.

Ale moja droga, to trudno. Muszą wiedzieć o wszystkim... Trzeba działać natychmiast. My się nie możemy narażać.

ADA.

Ciekawa jestem, czy Władysław pozwoli jej się z dzieckiem widzieć.

HELENA.

Powinien, bo inaczej nie wyjedzie. Zresztą wiem, że Władysław zgadza się na wszystko.

ADA.

Bo on jej zawsze broni. To bardzo szlachetnie z jego strony.

HELENA.

Ii, to nie szlachetność, tylko niedołęstwo.

ADA.

Ciekawa jestem, czy ona się bardzo przez te cztery lata zmieniła.

HELENA.

Pewno... Musiała się postarzeć. Takie życie to niszczy w niemożliwy sposób.

ADA.

Chciałabym kiedy tego hrabiego zobaczyć. Przyznam ci się, że bardzo jestem ciekawa, jak on wygląda.

HELENA.

Jakżeż może wyglądać człowiek, który ma sześćdziesiąt ośm lat?... Pewno się cały trzęsie... Jak pomyślę niedobrze mi się robi... No, no... ledwo przyjechała, a już sobie przyjaciół znalazła... Ciekawam, czy ona i w Wiedniu tak...

ADA.

Tam może nie... Wszyscy starzy ludzie to bywają przecież chorobliwie zazdrośni, a ten Stieglitz von Amim podobno przytem kocha się w niej szalenie.

HELENA.

Czyż taki dziad może kochać? To tylko zwyrodnienie... Ja wogóle nie pojmuję tego, jak ona się może mężczyznom podobać... Przecież jest zupełnie brzydka.

ADA.

E, daj spokój! Ładna jest, oczy ma prześliczne.

HELENA.

Co wyście sobie wszyscy z temi jej oczami uroili? Taki niemiły, poprostu odrażający wyraz... Przynajmniej mnie się tak zdaje... nie wiem... ja, gdybym była mężczyzną nie spojrzałabym na nią.

Scena piąta.

HELENA — ADA — TOPOLSKI — JANEK — WŁADYSŁAW

TOPOLSKI

(*wchodząc*).

Nie, to oszaleć można... Jak Boga Kocham oszaleć można... z tym zerwali, ta przyjechała... już mi się w głowie mąci... Co za dzień jakiś przekłęty!

HELENA

(witając się z Władysławem).
Pisała do ciebie?

WŁADYSŁAW.

Pisała. Dzisiaj rano dostałem list. Tak samo jak i wy.

TOPOLSKI.

I któż za ciebie będzie teraz długi płacił? Wyrzucałeś pieniądze jak wariat...

JANEK.

Dobrze... dobrze... Nie jestem teraz usposobiony do słuchania moralnych nauk.

TOPOLSKI.

Bo ja nie. Choćbym chciał nie mogę, bo poprostu nie mam z czego. Tak mi się wszystkie interesy powikłały... Aj, doprawdy, to oszaleć można.

HELENA.

Dziś tak od samego rana.

ADA.

Ale... mamie onegdaj śniły się małe dzieci. I od razu mówiła, że będzie jakieś nieszczęście... sprawdziło się... Jakem dziś rano mamie powiedziała, że Mania jest w Warszawie, tak się strasznie biedaczka rozplakała, że jej uspokoić nie mogłam.

HELENA.

Wiecie, co ona zdążyła zrobić? *(urywa nagle, spogląda na Władysława).*

WŁADYSŁAW.

Wszystko jedno... Powiedz.

HELENA.

Otóż wczoraj zaledwie przyjechała...

ADA

(przerywając jej).

Mnie to Kaziak opowiadał. Kaziak był wczoraj z jakimiś kolegami w kawiarni i o trzeciej rano widział ją w towarzystwie dwóch obcych mężczyzn zupełnie pijaną. Mówi, że podobno na nogach ustać nie mogła.

JANEK.

Mnie się zdaje, że to on prędzej był tak pijany, że na nogach ustać nie mógł.

ADA.

Przepraszam bardzo, Kaziak się nigdy nie upija.

JANEK.

Moja Ado. Mania wyjechała z Warszawy przed czterema laty, Kaziak przyjechał na uniwersytet dwa lata temu. Przedtem nigdy nie bywał, Manię widział może kilka razy w dzieciństwie i w jaki sposób mógł ją poznać?

ADA.

Znał ją z opowiadania, przecież często w domu mówiliśmy o niej... zresztą z fotografii.

JANEK.

A, tak — —

ADA.

Z palca przecież nie wyssał.

JANEK.

Dobrze, dobrze... Więc była w kawiarni naga, pijana, z całym pułkiem mężczyzn, tańczyła po stołach i jadła szkło.

HELENA

(do Ady).

Nie sprzeczasz się z nim, on taki rozdrażniony.

JANEK.

A wy pierwsi sami zaczynacie plotki robić.

TOPOLSKI

(który przez cały czas rozmawiał na uboczu z Władysławem).

Więc my we trzech pójdziemy dziś do niej i rozmówimy się.

HELENA.

A jakże będzie z dzieckiem?

WŁADYSŁAW.

Ja nie mam nic przeciwko temu, żeby się z nim widziała.

HELENA.

I pozwolisz?

WŁADYSŁAW.

Jest matką. Byłoby okrucieństwem nie pozwalać. Wierzę w to, że naprawdę tu przyjechała z tęsknoty.

HELENA.

Mnie się w to bardzo wierzyć nie chce...

ADA.

Ja się zasiedziałam, a tu już druga... Muszę wracać, bo mama się tam niecierpliwi, Do widzenia Helu!... Ja tu jeszcze popołudniu wpadnę... Powiesz mi, coście uradzili. *(Żegna się ze wszystkimi, wychodzi).*

Scena szósta.

CIŻ — bez ADY

WŁADYSŁAW.

Dlaczego nie wierzysz, że ona mogła się za dzieckiem stęsknić? Z powodu życia, jakie prowadzi? Jedno z drugim nic wspólnego nie ma.

HELENA.

Może... nie wiem... Ty zawsze byłeś filozofem.

JANEK.

Aż żonę przefilozofował.

WŁADYSŁAW.

Co to ma znaczyć?

JANEK.

Bo my teraz wszyscy pokutujemy za twoje niedołęstwo.

TOPOLSKI.

Daj spokój Janku.

JANEK.

A, spokój, spokój!... Ja taki wściekły jestem, żebym ludzi mordował. Tobie całą tę historię zawdzięczamy.

WŁADYSŁAW.

Mnie?

JANEK.

A ma się rozumieć, ona była kobieta z temperamentem, a ty filozofowałeś. Lepiej trzeba się było gimnastykować.

TOPOLSKI.

Janku uspokój się.

JANEK.

Łatwo ci mówić. *(do Władysława).* Żebyś umiał się był z nią obchodzić, nigdy by od ciebie nie uciekła i uniknęłoby się całego skandalu.

WŁADYSŁAW

(wzrusza ramionami i odwraca się tyłem do Janka).

JANEK.

Wzruszaj ramionami... z filozoficznym spokojem. Ja wam mówię, że jeszcze od początku świata nie było filozofa, któryby miał wierną żonę... Do widzenia!

TOPOLSKI.

Dokądże chcesz uciekać? Nie pójdziesz z nami do Mani?

JANEK.

Aha, prawda... Dobrze... pójdę... A kiedyż wy się wybieracie?

TOPOLSKI.

Najlepiej nie odkładać.

WŁADYSŁAW.

Chodźmy zaraz. *(do Janka)* Ale tobie radziłbym wprzód ochłonać.

JANEK

(do Władysława).

Przepraszam cię... Trochę się uniosłem, ale żebyś ty był w mojem położeniu.

WŁADYSŁAW.

Tem też to sobie tłumaczyłem. Nie dziwię się, że jesteś zdenerwowany...
Taki zawód.

JANEK.

Ach, zawód, zawód... Z tem sobie dam radę, ale co ja z długami zrobię... Mówię wam, że tylko się powiesić.

TOPOLSKI.

I z długami możesz sobie jeszcze poradzić. Nie wyrzucaj tylko tak bezmyślnie pieniędzy na wszystkie strony.

JANEK

(macha beznadziejnie ręką).

TOPOLSKI.

Skoro mamy pójść, to chodźmy. Mówi się mówi, a ostatecznie jeszcześmy naprawdę nic nie uradzili.

WŁADYSŁAW.

Nie wiemy po co właściwie przyjechała, więc trudno coś postanowić. Przeciwno temu, żeby się widziała z dzieckiem nic nie mam i ta sprawa jest załatwiona. A co się tyczy reszty...

JANEK.

Hm... Ten pan Ottokar Stieglitz von Arnim, czy dyabli wiedzą jak, to podobno milionowy człowiek... Mania musi mieć mnóstwo pieniędzy. Mogłaby co prawda pożyczyć.

HELENA.

I tybyś wziął od niej?

JANEK.

Dlaczego nie... Tylko, że ona pewno już jest wyzuta ze wszystkiego... nie da.

TOPOLSKI.

Janku zastanów się nad tem, co mówisz. Jestem pewien, że choćby ci ofiarowywała sama, choćby cię prosiła, nie wziąłbyś ani grosza.

HELENA.

I ja w to wierzę... Tak tylko mówisz...
Zawsze się lubisz gorszym przedstawiać niż jesteś.

TOPOLSKI.

To prawda.

HELENA.

Takie pieniądze!... Nie wiem, żeby całe moje życie miało od tego zależeć, nie tknęłabym się ich nawet.

JANEK.

A ja nie pojmuję, czemu wy się tak oburzacie. Nie popłacę długów — świństwo, gdybym od niej wziął na zapłacenie — także świństwo, w końcu, jeżeli jedno z dwóch świństw muszę zrobić, to wolę to, które jest wygodniejsze dla mnie...

WŁADYSŁAW.

Bardzo słuszne zdanie, ale na tego rodzaju rozprawy i później będziemy mieli dużo czasu... Teraz chodźmy.

TOPOLSKI.

I dla czego nie masz jeszcze długów popłacić, jeśli tylko będziesz naprawdę chciał.

JANEK.

Ty mi nie dasz.

HELENA.

No, mój Janku, to trudno. Henryk pomagał ci dopóki mógł. Wiesz jednak, że jemu samemu gorzej teraz idzie, a ty tak strasznie dużo wydajesz.

JANEK.

Na miłość Boga, oszczędźcie mi już tylko nauk moralnych...

TOPOLSKI.

I chodźmy już raz. Trzeba się jednego trzymać, a przede wszystkim trzeba, żeby Mania jak najprędzej wyjechała z Warszawy.

HELENA.

Tylko nie siedźcie długo!

TOPOLSKI.

Rozmówimy się z nią i przyjdziemy. Do widzenia.

HELENA.

I nie dajżeś się roztkliwić. Ty jesteś taki miękki a ona napewno będzie komedye grała. *(do Władysława i Janka)* I wy przyjdziecie ?

WŁADYSŁAW.

Przyjdziemy.

HELENA.

Będę strasznie niespokojna.
(W przedpokoju słyhać dzwonek).

TOPOLSKI.

Któż to?

HELENA.

Może ona?
(Wchodzi lokaj.)
Kto tam?

LOKAJ.

Przyszedł pan Olszewski, pyta się, czy pani przyjmuje?

HELENA.

Także się w porę wybrał z wizytą.

JANEK.

Musiał się już dowiedzieć.

TOPOLSKI

(daje Jankowi znak oczami, że lokaj słyha). Poproś. *(lokaj wychodzi).*

Lepiej go przyjmij... jak gdyby nigdy nic, a my przejdziemy tędy, żeby się z nim nie spotykać.
(*Topolski, Janek, Władysław wychodzą*).

Scena siódma.

HELENA — OLSZEWSKI

HELENA

(*stoi na środku pokoju w wyczekującej pozycji. Kiedy Olszewski wszedł i zbliża się ku niej, daje mu znak ręką, żeby nic nie mówił. Olszewski zatrzymuje się zdziwiony, Helena po chwili*). Wyszli!... Ile razy ja cię prosiłam, żebyś tak często do nas nie przychodził! Chcesz mnie skompromitować koniecznie... Żeby całe miasto mówiło!

OLSZEWSKI.

Ależ Helu!

HELENA.

Cicho! Nie krzycz tak! Lokaj może być w drugim pokoju.

OLSZEWSKI

(*podchodzi do drzwi — wygląda*).

Niema... Helu, co to wszystko ma znaczyć? Skąd te wyrzuty ?

Prawie wcale przecież u was nie bywam... Moje wizyty nie mogą już chyba zwrócić niczyjej uwagi.

HELENA.

Ale mnie się zdaje... Wiesz, że na złodzieju czapka gore... Tyle razy ci tłumaczyłam, tyle cię razy prosiłam... Mógłbyś mieć chociaż wzgląd na moje nerwy.

OLSZEWSKI

(*zbliża się do niej i bierze ją za rękę*).

Czemu kociak taki zły dzisiaj?

(*chce ją pocałować*).

HELENA

(*wyrywając mu się*).

Daj mi spokój!

OLSZEWSKI.

Przepraszam, widzę, że rzeczywiście nie w porę przyszedłem.

HELENA. Żebyś ty wiedział jakie ja mam ciężkie zmartwienia, nie dziwiłbyś się wcale temu, że jestem rozdrażniona. Inna kobieta na moim miejscu jużby się dawno rozchorowała.

OLSZEWSKI

(*z przesadną troskliwością*). Cóż takiego?

HELENA.

Ach!...

OLSZEWSKI.

Powiedz-że Helka. Przedemną możesz się chyba zwierzyć.

HELENA.

To prawda. Przed tobą nie potrzebują mieć tajemnic. Wiesz... przyjechała ta...

OLSZEWSKI.

Siostra twojego męża ?

HELENA.

Skąd wiesz?

OLSZEWSKI.

Widziałem ją wczoraj.

HELENA.

I ty!... No, mój Boże... już całe miasto wie o tem. I witałeś się z nią może?...

OLSZEWSKI.

Nie, widziałem ją tylko z daleka.

HELENA.

Mój drogi, proszę cie bardzo, jakbyś się z nią spotkał, udawaj że nie znasz...

OLSZEWSKI.

Cóż mnie ona obchodzi? Wiesz przecie, że mnie nikt na całym świecie nie obchodzi prócz ciebie (*zbliża się i chce ją znowu pocałować*).

HELENA.

Nie... nie... nie... Mój drogi, ja jestem dziś tak nieusposobiona.

OLSZEWSKI.

Ależ Helu ja ciebie doprawdy nie pojmuję... Żeby się tak zdenerwować... Wielka rzecz, że przyjechała.

HELENA.

Całe miasto będzie mówiło... Będą mnie palcami na ulicach pokazywali.

OLSZEWSKI.

Zdaje ci się. Nikt nie będzie mówił... Ty zresztą przecie nie możesz odpowiadać za to, co ona robi... No, pocałuj Heluś i nie gniewać się, bo mi przykro.

HELENA.

Nie... nie... Mój drogi, zrób mi tę łaskę, idź... ja dziś nie mogę z tobą rozmawiać.

OLSZEWSKI

(cofa się kilka kroków w milczeniu),

HELENA.

Już się gniewasz... Doprawdy jaki ty jesteś niedobry dla mnie.

OLSZEWSKI.

Ależ nie gniewam się.

HELENA.

Kiedy widzę, że się gniewasz... Myślisz, że ja nie poznam od razu... Człowieku, zrozum moje położenie, ja cię nie mogę przyjmować u siebie... Dziś, jak przyszedłeś, byli wszyscy: Henryk, Janek i jeszcze Władysław... Zwłaszcza on... wiesz, jaki to plotkarz przy całej swojej filozofii...

OLSZEWSKI.

Słowo honoru ci daję, że jesteś zabawna z temi swojemi obawami.

HELENA.

Kiedy się boję.

OLSZEWSKI.

Nie gniewaj się Helu. Może to tylko twój kaprys, ale wiesz że dla mnie każda najdrobniejsza twoja zachcianka jest święta... Wiesz o tem, wiesz jak cię kocham... I dziś bym nie przyszedł, tylko mam tak straszne zmartwienie...

HELENA.

Jezus Marya!... Pewno ci znów pieniędzy potrzeba.

OLSZEWSKI

(potakuje w milczeniu głową).

HELENA.

A ja nie mam... Skąd ja wezmę?

OLSZEWSKI.

Nie... no przecież... Moja Helu ja przypuszczałam... Nie mówmy o tem najlepiej, proszę cię...

HELENA.

Wiesz, że jabym ci wszystko oddała... Mam kilkanaście rubli... Czekaj... *{wybiega}*.

OLSZEWSKI.

Nie, proszę cię na wszystko...

(Z chwilą, gdy Helena znikła za drzwiami — zaciera ręce z uśmiechem).

HELENA

(wracając). Masz! wystarczy ci...

OLSZEWSKI.

O, *merci*... Doprawdy, mnie tak przykro... A!...

(zaczyna chodzić nerwowo po pokoju).

HELENA.

Jaki ty dziwny jesteś... Cóż w tem złego? Jak będziesz miał, to mi oddasz... A teraz idź... pocałuj i idź...

OLSZEWSKI.

Więc dziś o szóstej.

HELENA.

Nie, nie, ja dziś nie przyjdę.

OLSZEWSKI.

Czemu?

HELENA.

Mnie się zdaje, że ja jestem taka sama kobieta, jak ta... Mam męża, a z tobą...

OLSZEWSKI.

Helu ! Jak możesz nawet coś podobnego mówić... Biedactwo moje... takie zdenerwowane... Przyjdź Helu, bo mi będzie strasznie smutno. Wiesz, że jak ja którego dnia cię nie widzę, to tak jakbym nie żył...

HELENA.

Nie... nie... ja nie powinnam zdradzać męża...

OLSZEWSKI.

Czy ty nie rozumiesz tej różnicy? To nie jest zdrada. Ty mię kochasz... kochasz, a to rozgrzesza wszystko. Stosunki ułożyły się tak nieszczęśliwie, że nie możemy się połączyć.

HELENA.

To prawda.

OLSZEWSKI.

A tamta kobieta sprzedaje się... za pieniądze na zimno pierwszemu lepszemu mężczyźnie... Jak ty możesz się nawet z nią porównywać... Co za szalony pomysł!

HELENA.

Ona nawet nie potrafi kochać.

OLSZEWSKI.

Ma się rozumieć... Czyż ty myślisz, że to każda kobieta umie... To tylko takie, jak mój Heluś (*obejmuje ją w pól i całuje*).

HELENA.

Ale w każdym razie, mój kochany... Przez te parę dni, dopóki ona tu jest, nie będziemy się widywali... Nie gniewaj się... zrób to dla mnie... dla mojego spokoju.

OLSZEWSKI.

Dobrze dziecko, będzie mi strasznie ciężko, ale skoro chcesz, to już to zrobię...

HELENA.

Kociak bardzo prosi.

OLSZEWSKI.

A ileż dni ona tu będzie?

HELENA.

Nie wiem... nie wiem... Ja ci napiszę... A teraz idź... pocałuj... jeszcze... W usta... (*odprowadza go do drzwi, potem wraca na środek salonu i chwyta się rękami za głowę*).
Boże! Boże! co za dzień jakiś przeklęty.

AKT II.

W tym samym pokoju w kilka godzin później. Wieczór, na stole pali się lampa. — Marya w okryciu, w kapeluszu na głowie, siedzi na jednym z bocznych foteli, nerwowo bawiąc się rękawiczkami. Po chwili z drugiego pokoju wychodzi Helena i zatrzymuje się przy drzwiach.

Scena pierwsza.

MARYA — HELENA.

MARYA

(*na widok Heleny zrywa się z krzesła*).

Helu!... (*podbiega kilka*

kroków ku niej i zatrzymuje się pośrodku pokoju niezdecydowana).

HELENA.

Co-o? (*mierzy ją pogardliwie oczami*)., Ja wyszłam jedynie tylko po to, aby pani powiedzieć, że jej czekanie na nic się nie zdało... W tem mieszkaniu mój mąż nie będzie z panią rozmawiał.

MARYA.

— — —

HELENA.

Bardzo mi przykro, że muszę to pani jeszcze raz powtórzyć.

MARYA.

A ja nie pójdę!

HELENA.

Co?

MARYA.

Ja muszę się z nim dziś widzieć... Nie zastali mnie w hotelu... ja do jutra nie mogę czekać.

HELENA.

Doprawdy... To sobie dobre... Ale pani wybaczy chyba, że nie będę jej dotrzymywała towarzystwa... nie miałybyśmy o czem rozmawiać.

MARYA.

O, na tem mi nie zależy... (*siada w fotelu*).

HELENA.

Ze względu na siebie samą trudno mi wołać służbę. Myślałam, że to, co powiedziałam pani — wystarczy.

MARYA

(*nie odpowiada; bierze ze stołu książkę i zaczyna ją przeglądać*).

HELENA.

Ach, tak... Pani się musi śmieszna wydawać moja naiwność... Zapomniałam, że do tego rodzaju kobiet słowami przemawiać niepodobna.

MARYA

(*podnosząc się nagle z fotelu*). Czego ty odemnie chcesz? Czego się znęcasz? Idź! Boże, jacy wy wszyscy źli jesteście! (*wybucha płaczem*).

HELENA

(*podbiegając ku niej*).

Cicho... Niech pani nie krzyczy... Na miłość Boga, służba usłyszy, w całym domu będą plotki... Pani nie wie jak to może Henrykowi zaszkodzić... Dla brata niech pani to zrobi... Niech pani już czeka, tylko niech się pani uspokoi... może się pani wody napije?...

MARYA.

Dziękuję... nie potrzeba... Ja... umiem panować nad swojemi uczuciami.

HELENA

(*wybiega do drugiego pokoju — wraca z karafką wody*). Niech się pani napije koniecznie... Bo się pani znowu rozplacze... Pani jest strasznie rozdrażniona...

MARYA

(pije wodę).

Nie... nie... Niech się pani nie obawia, nie zrobię skandalu...

HELENA.

Oni byli u pani w hotelu. Wszyscy trzej: Henryk, Janek i Władysław. Czemuż pani na nich nie czekała ?

MARYA.

I Władysław?

HELENA.

Tak.

MARYA.

Nie mogłam. Ja się spodziewałam nawet, że oni dziś przyjdą, ale nie mogłam czekać... Nie wiem, co się ze mną stało. Nie mogłam w pokoju usiedzieć.

HELENA.

Pani znowu płacze...

MARYA.

Nie... nie... to tylko tak... jestem trochę zdenerwowana. Przez cały dzień włóczyłam się po mieście, po najbardziej zapadłych kątach, po jakichś uliczkach, których nigdy przedtem nie widziałam... Byłam nad Wisłą... Tu u was już się wiosna zaczyna... Zupełnie się upiłam powietrzem.

HELENA.

Pani jest najokropniej zdenerwowana.

MARYA.

W Wiedniu straszny czas... deszcz... zimno... Kiedym wyjeżdżała jeszcze śnieg padał...

HELENA.

Niech się pani wody napije... może z koniakiem, dobrze?

MARYA.

Nie... nie!...

HELENA.

Pani powinna przede wszystkim odpocząć... Ta rozmowa jeszcze bardziej panią rozdrażni... Ja pani teraz zupełnie szczerze radzę... niech pani najlepiej wróci do hotelu i położy się... a jutro zobaczy się pani z braćmi.

MARYA.

Dlaczego? — Dlaczego ty do mnie mówisz wciąż pani?... O, jacy wyście nie dobrzy... przecież trzeba mieć litość... Ja do was wróciłam.

HELENA.

Do nas?

MARYA.

Chcę z wami zostać.

HELENA.

Zostać w Warszawie?

MARYA.

Chcę się zmienić... chcę zacząć inne życie... Nie wypędzicie mnie chyba... Mnie już tak zbrzydło to wszystko... Jezus Marya! Ty nie wiesz, ty pojęcia nie masz, nie możesz mieć, jakie ja męczarnie przechodzę, jaki ja wstręt do siebie czuję.

HELENA.

Ale to niemożliwe!

MARYA.

HELENA.

Pani nie może wrócić do Warszawy! Nie... nie!...

MARYA

(podnosząc się). I mam do śmierci pozostać tem, czem jestem?

HELENA.

Ha... ha... ha... ha... To pyszne... ha... ha... ha!... Zabawiła się wesoło przez cztery lata, narażając nas na najstraszniejszy wstyd, hańbę, upokorzenie, a teraz chce wracać! Ha... ha... ha... Myśli pani, że kiedy się pani to znudziło, czy kiedy panią ten hrabia od siebie wyrzucił, to my mamy ją przyjąć z otwartymi rękami!... Wielkie szczęście! Niech pani nie robi takich tragicznych min... ja nie jestem dzieckiem Mnie pani nie oszuka!

MARYA.

Helu!

HELENA.

Proszę do mnie tak nie mówić!... I niech pani sobie ten powrót wybije z głowy! Ani ja, ani Władysław, ani Henryk nie pozwolimy na to... Jeśli pani tylko w tym celu przyjeżdżała z Wiednia, to szkoda było drogi!... Znamy się na tej skrusze... na dwa tygodnie!

MARYA.

A ja zostanę!

HELENA.

Nie, przysięgam pani, że pani nie zostanie! Proszę wyjść, bo lokaja zawołam!

MARYA.

(Stoi kilka chwil nieruchoma z rękami przyciśniętymi do skroni, potem siada w fotelu i zaczyna przeglądać książkę).

HELENA.

Pani nie pójdzie!

(rzuca się, wydziera jej książkę z ręki, ciska z wściekłością o podłogę i nie mogąc już dłużej panować nad swoim rozdrażnieniem, zaczyna głośno płakać. Po chwili zwraca się szybko ku drzwiom.)

(W tym samym momencie wchodzi do pokoju Henryk i Władysław.)

Scena druga.

HELENA — MARYA — TOPOLSKI — WŁADYSŁAW.

WŁADYSŁAW

(zatrzymuje się nieruchomo przy drzwiach).

MARYA

(podnosi się z fotelu, jakby chcąc iść na spotkanie brata, ale się również zatrzymuje w miejscu).

HELENA.

Henryku... Ona...

TOPOLSKI.

Maniu!

(jeden szybszy ruch w kierunku siostry — spotyka wzrok żony i również się zatrzymuje).

HELENA.

Więc ja... albo ona!

TOPOLSKI.

I pociąg ty przyjechała?!...

MARYA

(osuwając się na fotel i zaczyna płakać).

HELENA.

Cicho! Zróbcie coś!... Ona spazmów dostanie! Cały dom będzie mówił jutro o tych płaczach.

TOPOLSKI.

Zostaw nas samych.

HELENA.

Ona chce mieszkać w Warszawie! Już się jej Wiedeń sprzykrzył!... Każ jej wyjść!

TOPOLSKI.

Cicho!

HELENA.

Tak!... Otóż... Jeżeli w tej chwili nie wyjdzie, to ja sobie pójdę... słyszysz!

WŁADYSŁAW

(zbliżając się ku nim szybko ode drzwi). Henryku zabierz żonę... zostaw nas samych!...

HELENA.

Ja nie pozwolę!

TOPOLSKI.

Chodź!

WŁADYSŁAW.

Na jedną chwilę... Uspokój-żeż się... sama najwięcej hałasu robisz!

TOPOLSKI.

Władysław ma słuszość... Pójdź Helu... On jest spokojniejszy!

WŁADYSŁAW.

Na dziesięć... na pięć minut...

(odprowadza ich i zamyka za nimi drzwi).

Scena trzecia.

WŁADYSŁAW — MARYA.

WŁADYSŁAW

(przez kilka chwil patrzy na Maryę, która siedzi w fotelu z twarzą ukrytą w dłoniach. Potem wolno zbliża się ku niej. Cichym wzruszonym głosem:)

Maniu!

MARYA.

— — —

WŁADYSŁAW

(siada na fotelu obok Maryi).

Jaka ty musisz być nieszczęśliwa.

MARYA.

O... co ja przecierpiałam... Helena powiedziała mi przed chwilą, że się wesoło przez te cztery lata bawiła. Wam wszystkim się tak zdaje...

WŁADYSŁAW.

Nie... wiesz, że ja cię nie sądzę tak, jak oni.

MARYA.

Czy Kazio już jest duży?

WŁADYSŁAW.

Tak, wyrósł, zmężniał... Nie poznałabyś go na ulicy... I taki rozumny dzieciak... już czytać umie...

MARYA

(wybucha krótkim, urywanym, pełnym szczęścia śmiechem). A włoski mu ściemniały?

WŁADYSŁAW.

Trochę ściemniały.

MARYA

(znowu wybucha śmiechem). — — — I ty pozwolisz, żebym ja go zobaczyła.

WŁADYSŁAW.

Masie rozumieć... Kiedy tylko zechcesz.

MARYA.

Jakiś ty dobry!... I nie chorował przez te cztery lata wcale?

WŁADYSŁAW.

Raz jeden miał jakąś gorączkę... głupstwo, po kilku dniach mu przeszła... zdrow chłopak jak ryba.

MARYA.

I tak wyrósł... zmężniał... A?...

WŁADYSŁAW.

Co?

MARYA.

Czy... czy mnie pamięta?

WŁADYSŁAW.

Pamięta... I dopytuje się wciąż kiedy mama wróci.

MARYA.

— — —

WŁADYSŁAW.

Bo mu powiedziałem przecież, że jesteś chora, że pojechałaś za granicę się leczyć.

MARYA.

I on czeka na mnie! (*zaczyna płakać*).

WŁADYSŁAW.

Maniu!

MARYA

(*przez łzy*).

Jakiś ty dobry... jakiś ty dobry...

WŁADYSŁAW.

Mańka... Jakem dzisiaj twój list dostał... Ja ci wszystko zapomnę... Jeszcze możemy być bardzo szczęśliwi... Ja przez te cztery lata wciąż za tobą tęskniłem... chwili nie było, żebym nie myślał o tobie... Ty wiesz, że ja ciebie tylko jedną kochałem że ja cię zawsze kocham!...

MARYA

(*uśmiecha się — kładzie mu rękę na głowie*).

WŁADYSŁAW

(*chwytając jej rękę i całuje*). Gdym dziś wszedł tutaj, gdym cię zobaczył niespodziewanie w tym pokoju, zdawało mi się, że zemdleję.

MARYA.

Biedny... biedny!

WŁADYSŁAW.

I ty naprawdę chcesz do nas wrócić, naprawdę się chcesz zmienić.

MARYA.

Ja już za wszystkie swoje grzechy przez ten czas odpokutowałam!

WŁADYSŁAW.

Wierzę ci.

MARYA.

Ile ja razy chciałam życie sobie odbierać...

WŁADYSŁAW

(*całując ją po rękach*).

MARYA.

Nie miałam odwagi... To takie straszne... A byłabym najszczęśliwsza, żeby to się już raz wszystko skończyło, żebym raz — — zdechła.

WŁADYSŁAW.

Uspokój się... Moje drogie dziecko... Nie płacz... zobaczysz, że się teraz wszystko zmieni, zapomnimy o tem, co było i zaczniemy żyć na nowo...

MARYA.

Nie... nie... nie !...

WŁADYSŁAW.

I będziemy stokroć szczęśliwsi jak dawniej.

MARYA.

Nie.

WŁADYSŁAW.

Dlaczego?... no powiedz, dlaczego?... Ludzi się obawiasz? Ja ich potrafię zmusić do tego, żeby... Maniu co się z tobą dzieje?

MARYA.

Nic... nic... *{gładzi go ręką po włosach}*).

WŁADYSŁAW.

Jesteś strasznie wzruszona... Ty moja biedna... Moje drogie, biedne dziecko... nie bój się, ja ci nie pozwolę krzywdy zrobić.

MARYA.

Ja... ja...

WŁADYSŁAW.

Co?

MARYA.

Ja... do ciebie nie wrócę.

WŁADYSŁAW.

MARYA.

Nie mogę... nie mogę.

WŁADYSŁAW.

Nie wrócisz?

MARYA.

Zrozum mnie... Ty byłeś dla mnie zawsze bardzo dobry... ty jeden... tysiąc razy lepszy niż oni, choć to niby bracia...

WŁADYSŁAW

— — —

MARYA.

Ale ja ciebie nigdy nie kochałam.

WŁADYSŁAW

(cofa się gwałtownie w tył)).

MARYA.

Com ja winna? Człowieku!... com ja winna? Oni mnie przemocą za ciebie wydali... ja szłam z domu, bo wytrzymać już z nimi nie mogłam... wiesz jak mi na każdym kroku dokuczali, jak im wszystko przeszkadzało... po prostu chcieli mnie się pozbyć jak najprędzej, bo ich za dużo kosztowałam.

WŁADYSŁAW.

A... i ja...

MARYA.

Przebacz mi... ja zupełnie szczerze... To ci mogę przysiąc święcie jak przed Bogiem... zdawało mi się, że nie potrzeba kochać... Oni mnie wciąż prześladowali, nazywali mnie szaloną, wariatką, mówili mi, że sobie powieściami zawróciła w głowie...

I sama uwierzyłam im w końcu... Sił nie miałam na walkę z nimi.

WŁADYSŁAW.

Ale ja cię nie prześladowałem.

MARYA.

Czyż ja się skarżyłam kiedy? Mówię, że ty jeden byłeś dla mnie dobry.

WŁADYSŁAW

(*wstając*).

Bo ja się przyznam, że cię nie rozumiem wcale... Pokochałem cię jak najserdeczniej, oddałem ci wszystko, o niczym innym nie myślałem, tylko o tym, żeby ci było dobrze na świecie, żeby ci niczego nie brakło, a ty.

MARYA.

Wiem... wiem...

WŁADYSŁAW.

Czyż ci w Wiedniu było lepiej, niż ze mną.

MARYA.

Zmiłuj się... zrozum!

WŁADYSŁAW.

Ale co ja mam zrozumieć?... Przyjeżdżasz, chcesz się zmienić, chcesz zacząć nowe życie i pierwszym słowem odpychasz mnie od siebie...

MARYA.

Bo ja chcę żyć sama.

WŁADYSŁAW.

Sama? W Warszawie? Po czterech latach tej wiedeńskiej karyery.

MARYA.

Dlaczego ty tak mówisz?

WŁADYSŁAW.

Dla mnie to za mądre. Kochałem cię pomimo wszystko i łudziłem się, że i ty mnie kiedyś pokochasz, że będziesz umiała moją miłość ocenić... Nawet wtedy, kiedyś uciekła do tego Wiednia, jeszcze się łudziłem; jeszcze czekałem, że się w tobie coś lepszego obudzi. Mnie złamałaś życie, dziecku!...

MARYA.

Władek!...

WŁADYSŁAW.

Tak... Miej odwagę wysłuchać... Jemu do śmierci nie zapomną, czem była matka!

MARYA.

Boże! Boże!

WŁADYSŁAW.

No uspokój się... wróć tylko do mnie... raz się zmień naprawdę, a jeszcze wszystko będzie dobrze...
Mańka!

MARYA

(po chwili milczenia półgłosem).

Nie... nie... nie... ja nie mogę.

WŁADYSŁAW.

Nie możesz... Tarzać się w Wiedniu w błocie mogłaś... A ja ci jeszcze wierzyłem!

MARYA.

Więc i ty!

WŁADYSŁAW.

A cóż? Mam ci dziękować może?... mam się cieszyć... z czego?

MARYA.

— — —

WŁADYSŁAW.

Zdawało mi się, że taka miłość jak moja nie może pójść na marne... Po całych nocach tylko o tem myślałem, jak kiedyś do mnie wrócisz... I tem żyłem przez cztery lata... Ha... ha... ha! Ładny koniec marzeń!

MARYA.

Nie mów tak!

WŁADYSŁAW.

Aa... Powiem ci... Jestem przekonany... że gdybyś miała... choć jedną iskrę jakiegoś ludzkiego uczucia w sercu, umiałabyś moją miłość uszanować... Ale ty niezdolna jesteś do tego, żeby kochać!

MARYA.

— — —

WŁADYSŁAW.

Nie mamy o czem mówić... Chciałem jak najlepiej dla ciebie... trudno... skoro nie jestem godzien twojego przywiązania... Rozmów się z bratem, zawołam go tutaj... Z Kaziem będziesz się mogła jutro zobaczyć... Do widzenia
(zawraca ku drzwiom).

MARYA.

Władku... Władku!

WŁADYSŁAW

(zatrzymuje się i odwraca).

MARYA.

Nie odchodź tak odemnie... Żaden wróg tak się ze mną nie zegnał!... Przebacz... Zrozum!

WŁADYSŁAW.

Nie rozumiem *(wychodzi).*

MARYA

(kilka chwil pozostaje bez ruchu).

SCENA CZWARTA.

TOPOLSKI — MARYA.

TOPOLSKI

(wchodzi).

Moja droga... Władysław powtórzył mi waszą rozmowę... uprzedzam cię z góry, że z twego zamiaru pozostania w Warszawie nic nie będzie.

MARYA.

Więc każecie mi napowrót... wracać do Wiednia?

TOPOLSKI.

My ci nic nie każemy... sama sobie zawdzięczasz wszystko... I postępujesz tak, że nawet nie można mieć dla ciebie współczucia...

MARYA.

Ja go nie pragnę.

TOPOLSKI.

Nie wiem, czego ty pragniesz, tylko jeszcze ci raz powtarzam, że w Warszawie nie pozwolimy ci zostać... Dość już najedliśmy się wstydu przez ciebie...

MARYA.

Ha... ha... ha... ha... Ja z taką radością jechałam do was... ha... ha... ha... ha...

TOPOLSKI.

Dość tych komedyj!... Do teatru trzeba ci było wstąpić. Wiesz doprawdy, że... ja się muszę siłą woli hamować. Władysław chce się poświęcić dla ciebie, przygarnąć, zapomina jak najszlachetniej, o tem wszystkim, coś mu wyrządziła, a ty nie możesz z tej ofiary skorzystać, bo go nie kochasz!... Co za szczytny idealizm!... Dlaczegożes wyszła za niego nie kochając?

MARYA.

Dlaczego wyszłam?... Ty się o to pytasz?... Ty?!... A któż mnie całymi dniami prześladował, kto mnie zmusił do tego małżeństwa... I teraz... To jest bezczelność, podłość!...

TOPOLSKI.

Cicho!... Cały dom nie potrzebuje słyszeć...

MARYA.

Sprzedaliście mnie.

TOPOLSKI.

Wysłaś zażądać za człowieka najuczciwszego, jakiego znałem, za człowieka, który cię kochał, stworzył ci takie warunki bytu, o jakich mało kobiet marzyć może, zadawałaś najdrobniejsze zachcianki... Każda inna do śmierci by dziękowała Bogu, że ją taki los spotkał, ale ciebie ciągnęło do Wiednia.

MARYA.

Tak.

TOPOLSKI.

Jesteś wyższa po nad moje zarzuty... Mówmy spokojnie. Miałś wszystko, czego zapragnąć można. Pamiętaj, żeś-była biedną panną... Czemuś uciekła ?

MARYA.

Bo go nie kochałam.

TOPOLSKI.

Za to, co zrobił dla ciebie, powinnaś go była pokochać.

MARYA.

Tak.

TOPOLSKI.

Tak! Uczciwa kobieta potrafi się zmusić do miłości.

MARYA.

Ja od dziecka przez całe swoje życie marzyłam tylko o miłości... tego tylko pragnęłam, żeby kogoś kochać.

TOPOLSKI.

Dobrze, dobrze. W Wiedniu nie mogłaś takiego znaleźć, więc chcesz go teraz szukać w Warszawie.

MARYA.

— — —

TOPOLSKI.

Czegóż chcesz ostatecznie?... Mów!

MARYA.

Mówiłam wam.

TOPOLSKI.

Gdyby to było szczere, tobyś przedewszystkiem do Władysława wróciła.

MARYA.

Wiem... wiem!

TOPOLSKI.

Dlaczegoż nie chcesz wrócić? Czyż tego hrabiego kochasz? Wątpię... Tem bardziej więc mogłabyś żyć z mężem.

MARYA.

Dlatego, że się chcę zmienić... że przysięgłam sobie... ja mam wstręt do wszystkich mężczyzn!.. Rozumiesz?... Żebyś ty tak cztery lata przeżył jak ja... Boże... I znowu miałabym powrócić do tego człowieka, który mnie zabijał swoją dobrocią.

TOPOLSKI.

O tak... za dobry był dla ciebie... za dobry...

MARYA.

Wyście wszyscy byli dla mnie za dobrzy, a ja się dusiłam... mnie się tu w piersiach coś rwało... wyście się śmieli ze mnie, nazywaliście mnie waryatką... wszystko wam przeszkadzało... nawet moje głupie wiersze... i uczyliście mnie... rozsądku... powtarzaliście mi tysiąc razy na dzień, że byłam biedną panną... bez posagu.

TOPOLSKI.

Bo byłaś nią.

MARYA.

A ja żyć chciałam... a może nie żyć... nie wiem... sama nie wiem... Ja się dusiłam...

TOPOLSKI.

Moja droga, ja przyszedłem, żeby z tobą poważnie rozmawiać... Wrócisz do Władysława?

MARYA.

Nie.

TOPOLSKI.

A my samej nie pozwolimy ci w Warszawie pozostać.

MARYA.

Nie pozwolicie?

TOPOLSKI.

Z czego będziesz żyła? Władysław teraz nic ci już nie da... My też...

MARYA.

Potrafię zapracować.

TOPOLSKI.

Zapracować... Może tak, jak w Wiedniu?

MARYA.

Milcz!

TOPOLSKI.

A czemżeż ty potrafisz zapracować?

MARYA

(po chwili półgłosem).

I ty jesteś moim bratem.

TOPOLSKI.

Trudno... Ja mam żonę... stanowisko... ja muszę się z opinią liczyć... muszę żyć... Zresztą Władysław chciał ci ułatwić wszystko... Trzeba być najzupełniej wyzutym z ludzkich uczuć, żeby nie

ocenić takiego poświęcenia.

(Przez kilka chwil oboje milczą).

MARYA.

Do widzenia... bracie! (*idzie powoli ku drzwiom*).

TOPOLSKI

(*w chwili, gdy Marya jest już przy drzwiach*).

Mańka! Mnie ciebie strasznie żal... No idź, idź... idź... ja cię wyprowadzę... Powiem Jankowi, żeby jeszcze jutro do ciebie przyszedł... Idź!... (*wyprowadza ją, po chwili wraca, przechadza się kilka razy tam i napowrót po pokoju, następnie zbliża się ku drzwiom, które weszła żona*). Helu!

Scena piąta.

TOPOLSKI — WŁADYSŁAW — HELENA.

HELENA

(*wchodząc szybko do pokoju*). Poszła?

TOPOLSKI.

Poszła.

HELENA.

I cóż?

TOPOLSKI.

Czy ja wiem?

HELENA.

Jakto?

TOPOLSKI.

Chce tu zostać...

HELENA.

I wyście się na to zgodzili ?

TOPOLSKI.

Nie, ale cóż z nią robić?

HELENA.

To niemożliwe... Żebym ja była mężczyzną umiałabym sobie z nią poradzić... Teraz najmniejszych względów mieć nie można... Władysław tak szlachetnie chciał z nią postąpić, a ona...

TOPOLSKI.

Zdaje mi się jednak, że pojedzie.

HELENA.

Zdaje się... zdaje... ona musi pojechać! koniecznie... rozumiesz!

WŁADYSŁAW.

Uspokój się, nie zostanie w Warszawie.

HELENA.

Mówiła ci?

WŁADYSŁAW.

Jestem pewien... Znam ją... Dziwna kobieta...

HELENA.

We mnie się po prostu wszystko aż trzęsie z oburzenia, jak pomyślę... To było takie wznioste poświęcenie z twej strony... na kolanach powinny ci dziękować.

WŁADYSŁAW

(*macha ręką*).

HELENA.

Podziwiam cię... Jaby nie umiała być tak wspaniałomyślną... ale widzisz...

WŁADYSŁAW.

A tak... tak... (*chodzi po pokoju*). No, ja pójdę... Do widzenia wam.

HELENA.

Może zostaniesz z nami na wieczór.

WŁADYSŁAW.

O, nie... jestem strasznie zdenerwowany... (*chodzi po pokoju kilka chwil, wszyscy milczą*). I dlaczego ona taki wstręt do mnie czuje? Przecież ja dla niej żyłem tylko. — — — Ja wiedziałem, że ona teraz przyjedzie... nie pisała mi, nikt mi nie mówił, a czułem to nerwami... Miejsca sobie znaleźć nie mogłem. I w dodatku kilka dni temu śniła m się w nocy... w ślubnej sukni, wziąłem to za dobrą wróżbę... No, do widzenia...

HELENA.

Wierz mi Władku, ona nie warta jest takiej miłości... Otrząśnij się z tego.

TOPOLSKI.

Siłą woli wszystko można pokonać.

WŁADYSŁAW.

Wierzysz w to, coś powiedział?...

TOPOLSKI.

Ja, najzupełniej.

WŁADYSŁAW.

Tak, ty możesz zresztą.

TOPOLSKI.

Wszystko, co mam, sam zdobyłem... Nikt mi nic nie dał... Znasz moje życie...

WŁADYSŁAW.

A ja się żegnam z wami, żegnam a nie odchodzę... Więc jeszcze raz do widzenia.

TOPOLSKI.

Do widzenia. (*Władysław wychodzi*).

Scena szósta.

TOPOLSKI — HELENA — *później* ADA.

TOPOLSKI.

Biedny człowiek.

HELENA.

I mnie go żal serdecznie... Jeszcze go nigdy takim wzruszonym jak dzisiaj nie widziałam...

Wiesz, jakieś ty tu wyszedł do niej — płakał... Mówi, mówi, naraz patrzę, a jemu łzy lecą po twarzy, ale to tak, jak dziecku... Jak można się tak aż do szaleństwa w takiej kobiecie kochać...

TOPOLSKI.

Hm... cóż... Ludzie miewają różne usposobienia. Czy już przynieśli "pisma?"

HELENA.

Zapewne. Która to godzina?

TOPOLSKI

(idzie do przedpokoju, we drzwiach spotyka się z Adą).

O Ada, co to nie dzwoniłaś? Otwarte były drzwi?

ADA

(witając się).

Służący zobaczył mnie na schodach... *(Topolski wychodzi)*. Nie mogłam przyjść popołudniu, bo mama się rozchorowała... leży w łóżku... Teraz dopiero mogłam się wyrwać na chwilę... No i cóż?... byli?

HELENA.

Ale, żebyś ty wiedziała, co się tu działo! Mnie się zdaje, że ja się także rozchoruję i do łóżka położę... już mnie teraz głowa zaczyna boleć. *{Ścisła się rękami za skronie}*.

ADA.

Co takiego?

HELENA.

Wyobraź sobie, że ona tu była.

ADA.

U was?

HELENA.

Tak, przed chwilą odeszła... Kwadransa może nawet nie ma.

ADA.

To niesłychane... A nie mówiłam ci, że przyjdzie?... Prawda, zaraz powiedziałam... Opowiedz-żeż mi... Bardzo się zmieniła?

HELENA.

Ji, tak dobrze jej się nie przyjrzałam... Zniszczona.

ADA. Ale znać na niej, że iest taką?...

HELENA.

O, to znać... i co za bezczelność... To trudno mieć wyobrażenie. Nikogo w domu nie było, tylko ja sama jedna, jak przyszła...

ADA.

Więc u niej w hotelu nie byli?

HELENA.

Nie zastali jej. Czytałam właśnie książkę, ktoś dzwoni, lokaj mi mówi, że jakaś pani chce się ze mną widzieć. Wychodzę... Ona!...

ADA.

I cóż?

HELENA.

Mnie coraz gorzej głowa boli. Napewno w nocy ani oka nie zmrużę.

ADA.

Natrzyj sobie skronie wodą kolońską... I cóż?... (*Wchodzi Topolski z pismem w ręce — siada przy stoliku z zaczyna czytać*). Mów, bo ja zaraz muszę wracać... Ale to się mama zmartwi.

HELENA.

Ja ci nawet teraz wszystkiego dokładnie powtórzyć nie potrafię... Co się tu działo! Wyobraź sobie, że Władysław chciał się z nią pogodzić.

ADA.

Władysław?

HELENA.

Tak, co za anielskiej dobroci człowiek... Chciał jej wszystko przebaczyć, byle tylko wróciła do niego... Ale... płakał, mówił, że mu się onegdaj w nocy śniła w ślubnej sukni... Nie do uwierzenia, jak ten człowiek kocha ją szalenie i to dziś jeszcze.

ADA.

No, a ona?

HELENA.

Ona? Jej się wcale powrót do męża nie uśmiecha... Chciałaby... Jezus Marya, jak mnie głowa boli z każdą chwilą gorzej... Chciałaby sobie mieszkać w Warszawie, ale sama...

ADA.

Więc nie zgodziła się... To się mama zmartwi, ale opowiedz też od początku...

HELENA.

Pójdźmy do mnie... ja się trochę położę... tak mnie to wszystko zmęczyło, że ledwie na nogach stoję.

ADA.

Wierzę ci.

TOPOLSKI

(*czytając*).

Ooo!

ADA.

Co takiego?

TOPOLSKI.

Słuchajcie

(*unosząc się w fotelu*).

Peszt, ośmnastego. "Dziś przed południem w hotelu Pannonia zmarł nagle na atak apoplektyczny hr. Stieglitz von Arnim, członek austriackiej Izby panów". To on !

HELENA.

On!

(*Obie z Adą zaciekawione podbiegają ku Topolskiemu*).

AKT III.

Ten sam pokój. Godzina piąta popołudniu. Topolski — Ada — Helena piją herbatę.

SCENA PIERWSZA.

TOPOLSKI — HELENA — ADA.

TOPOLSKI

(*po chwili milczenia*).

No, no... pół miliona...

ADA.

Pół miliona.

HELENA.

Pół miliona. — — —

ADA.

Mama aż się rozplakała wczoraj biedaczka.. Bo to pomyśleć... pół miliona... Ile by to dobrego można ludziom za takie pieniądze zrobić.

HELENA.

Oh, po niej się to napewno nie pokaże...

ADA.

Straci.

HELENA

(*wstając*).

Ja się tylko temu staremu idyocie dziwię... Wszystko rozumiem, ale żeby takiej cały swój majątek zapisywać.

ADA.

On musiał mieć przecież jakichciś krewnych...

TOPOLSKI.

Nikogo nie miał.

HELENA.

Caluteńki majątek... Widocznie już oszalał na starość z tej rozpusty

(*chodzi nerwowo po pokoju*).

I komu? Setki tysięcy ludzi pracuje w pocie czoła, kawałka chleba nie ma za co do ust włożyć, z głodu ginie i nikt im nic nie da... nikt, a jej zapisują...

ADA.

Szczęście...

HELENA.

Coprawda, nie pragnęłabym takiego szczęścia... Nie, ja już jestem tem wszystkim tak rozdrażniona, że się tylko sama sobie dziwię, że się dotychczas ciężko nie rozchorowała.

ADA.

Bo ty się, może zanadto przejmujesz... Chociaż... Mama jest także okropnie zdenerwowana... Po całych nocach sypiać nie może... Widziałaś ją wczoraj? Prawda, że się zmieniła.

HELENA.

Rzeczywiście... gorzej wygląda.

ADA.

Boję się strasznie, żeby to jej nie zaszkodziło... Wpadłam tu do was na chwilkę i zaraz muszę wracać... Mama sama jedna w domu.

TOPOLSKI

(*wstając*).

Do widzenia.

HELENA.

Wychodzisz?

TOPOLBKI.

Tak.

HELENA.

Dokąd idziesz?

TOPOLSKI.

Muszę wyjść. Do widzenia (*wychodzi*).

ADA

(*po chwili*).

Henryk jest jakiś przygnębiony.

HELENA.

Nic dziwnego... I o niego się boję... Pojęcia nie macie, jak on jest na wszystkie zmartwienia wrażliwy... A ostatnimi dniami zmienił się do niepoznania... Małomówny, opryskliwy... o wszystko się gniewa.

ADA.

Takie przejście...

HELENA.

W dodatku zdaje się, że ma jakieś inne kłopoty... Ja boję się już nawet wspominać o tem, żeby go nie drażnić. — — —

ADA.

Mnie się to jednak w głowie pomieścić nie może... Pół miliona... pomyśl tylko... I co ona zrobi z temi pieniędzmi?

HELENA.

Wiesz, ja się także nad tem zastanawiam... Bo niby jak ona tego użyje?

ADA.

Hm... Zacznie się bawić, stroić... Będzie sobie sprawiała suknie po kilka tysięcy, brylanty, przytem one wszystkie podobno grają.

HELENA.

I pójdzie...

ADA.

Pójdzie!

HELENA.

Hm...

ADA.

A taka suma rozumnie użyta, ilu by to ludzi mogła na całe życie uszczęśliwić.

HELENA.

Spodziewam się... Przecież dla niejednej rodziny setna część tego, byłaby już zbawieniem.

ADA.

Tyle nędzy na świecie.

HELENA.

Doprawdy, życie jest takie głupie, że jak się głębiej nad niem zastanowić, to aż się wszystko w człowieku buntuje... Mnie nic tak nie boli, jak ta właśnie niesprawiedliwość losu... Niedość, że nas naraziła wszystkich na wstyd, hańbę, upokorzenie, że tak żyła sobie przez cztery lata, jeszcze spadek dostaje... Przecież, jak się patrzy na to własnymi oczami, to może szal ogarnąć...

ADA.

A ja ciekawa jestem, co sobie takie kobiety myślą?...

HELENA.

Nic.

ADA.

To musi być strasznie denerwujące...

HELENA.

Przyzwyczajają się do tego... Zresztą...

ADA.

Co?

HELENA.

Tak bardzo pewno znów nie denerwuje... Denerwują troski i kłopoty, a tego one nie znają.

ADA.

Bo taka nikogo nie kocha, do niczego się nie przywiąże, a pieniądze może mieć zawsze... Ja na przykład, mówię ci po całych nocach teraz sypiać nie mogę, bo ciągle myślę, czy mamie te zmartwienia nie zaszkodzą... Jabym tak nie potrafiła żyć, jak one.

HELENA.

I ja nie.

ADA.

To już się trzeba urodzić.

HELENA.

No i nie mieć honoru.

ADA.

Ani czci.

HELENA.

Ani godności ludzkiej...

ADA.

Ani wstydu...

HELENA.

Nie... nie... słowem trzeba być zwierzęciem...

ADA.

Wyzutym ze wszystkiego.

HELENA.

Po prostu zwierzęciem!

ADA.

Że też mężczyźni mogą takie kochać!

HELENA.

Mężczyźni... Oni je- właśnie najbardziej kochają.

ADA.

Ale dlaczego?

HELENA.

Bo to łatwiej...

ADA.

Straszne rzeczy dzieją się na świecie. Ilu to ludzi zmarnowało się przez takie panie ?

HELENA.

O, wysać to one potrafią.

ADA.

Słuchaj Helu.

HELENA.

Co?

ADA.

W Warszawie jest takie ich mnóstwo... Widują się przecież na ulicach, w alejach... Czy ty się o Henryka nie boisz?

HELENA.

Ha... ha... ha... O Henryka?!

ADA.

Czego się śmiejesz?

HELENA.

Nie... O Henryka jestem najzupełniej spokojna... Roześmiałam się, bo mi się nawet to podejrzenie śmiesznym wydało...

(wstaje z krzesła).

Henryk ma takie zasady.

ADA.

Ja cię nie rozumiem.

HELENA.

Jakto?

ADA.

Bo ty tak jakoś to wszystko mówisz?

HELENA.

Zdaje ci się... jestem wogóle zdenerwowana...

ADA.

Moja Helu...

HELENA.

Co?

ADA.

Powiedz mi jedno... Ty jesteś mężatka... Ja nie potrafię tego tak jasno wypowiedzieć... Zdarza się przecież, że kobieta wychodzi dwa i trzy razy zamąż?...

HELENA.

Wychodzą... Więc co?

ADA.

Więc... jak się wychodzi drugi raz zamąż, to tak samo jakby się wychodziło pierwszy. Nieprawda?

HELENA.

Jak to tak samo?

ADA.

No tak samo się kocha męża?

HELENA.

To zależy, można go i bardziej kochać...

ADA.

Ja wiem... wiem... Ale przecież miłość to jest strasznie rozkoszne uczucie.

HELENA

(przeciągając się).

Rozkoszne.

ADA.

Więc gdyby jakiej kobiecie co tydzień umierał mąż, a ona co tydzień wychodziła za innego, to czy to uczucie miłości zawsze by było jednakowo rozkoszne ?

HELENA.

Ha... ha... ha... Jaka ty zabawna jesteś Ado... Coraz rozkoszniejsze, bo wciąż nowe.

ADA.

To jednak takie kobiety mają przyjemne życie...

HELENA.

Czy przyjemne... Wyobraź sobie... Tak być w gabinecie z czterema mężczyznami... mieć wspaniałą suknię, brylanty, pić szampana... a oni cię wszyscy całują, pieszczą... na stole pełno kwiatów, gdzieś obok gra muzyka i tak się powoli odurzać, aż do upojenia... Chciałabyś?

ADA.

Tak... przez tydzień... Dla ciekawości.

HELENA.

O, bo dłużej i ja bym nie wytrzymała, ale spróbować...

ADA.

Miibyśmy nawet nie potrafiły dłużej... To się trzeba urodzić.

HELENA.

Ale żeby żyć w ten sposób.

ADA.

Jakeś powiedziała... Nie trzeba mieć wstydu...

HELENA.

Ani godności ludzkiej... Ktoś idzie...

Scena druga.

ADA. — HELENA — JANEK.

JANEK

(wchodząc).

Cóż to dzisiaj taki smutny five o'clocke? Same jesteście?... Henryka niema?

HELENA.

Wyszedł przed chwilą.

JANEK.

Dokąd.

HELENA.

Nie wiem. On teraz nigdy nie mówi.

ADA.

Biedny Henryk strasznie przygnębiony.

JANEK.

Co tam... Wszystko dobre, co się dobrze kończy... Jestem dziś w złotym humorze.

HELENA.

Zauważyłam to... Napijesz się herbaty?

JANEK.

Dziękuję... na chwilę tylko wpadłem. Moja droga, czy ty masz adres Mani?

HELENA.

Adres Mani?

ADA.

Cóż to, chcesz może pisać do niej?

JANEK.

Oczywiście.

HELENA.

Do niej.

JANEK.

No, do niej, do niej... Należy podtrzymywać przecież stosunki rodzinne. Chcę napisać, żeby mi pożyczyła pieniędzy.

ADA

Janku!

JANEK.

Oburza cię to?...

HELENA.

Wiesz...

JANEK

(do Ady).

Ale to się mama zmartwi... Prawda?

ADA.

(wzrusza ramionami).

Dowcip w twoim stylu.

HELENA.

Niesmaczne masz żarty.

JANEK.

Wybacz Ado... To mimowoli... Mam tak rozpromienioną duszę, że nikomu bym nie chciał dziś krzywdy zrobić... Przepraszam cię...

HELENA.

Mój Janku, czy ty seryo mówisz, czy kpisz z nas?

JANEK.

Ależ seryo,... najzupełniej seryo... Chcę do niej napisać... Właśnie dla tego przyszedłem się za pytać o jej adres... Sądzę, że i wy się z nią pogodzicie teraz, ale ja nie mam czasu czekać, aż to przejdzie przez wszystkie instancje familijne.

HELENA.

Nigdy.

ADA.

I ty weźmiesz od niej pieniądze?

JANEK.

Z pocałowaniem ręki.

ADA.

Nie zazdrozczę..

JANEK.

Ee.

HELENA.

Przepraszam cię bardzo, ale nie każdy ma takie swobodne poglądy, jak ty. Są ludzie, dla których honor więcej znaczy niż pieniądze... Gdyby wszyscy wyznawali twoje zasady, to łatwoby było do majątku dochodzić.

JANEK.

Szkoda, że nie wyznają.

HELENA.

Ja mówię zupełnie poważnie... Przez całe życie żartować nie można.

JANEK.

Dlaczego?

HELENA

(macha ręką... po chwili).

Ciekawa jestem, co Henryk na to powie.

JANEK.

O, to mnie najmniej obchodzi.

HELENA.

A... ciebie tak... Cóż ciebie wogóle obchodzi? Byle tylko wyrzucać pieniądze na prawo i na lewo... Z takimi paniami jak Mania.

JANEK.

Tem bardziej więc mam prawo wziąć od niej...

ADA.

Ja idę... ja już tego dłużej słuchać nie mogę... Zastanów się... przecież to poprostu ohydne, co ty mówisz.

HELENA.

Henryk jest tak zgnębiony, że się boję, żeby się nie rozchorował, a ten mu nową niespodziankę przygotowuje. Miły braciszek!

ADA.

Ależ Helu, on sobie chyba z nas żartuje... Na tyle ma przecież ambicyi.

JANEK.

Wcale nie żartuję, a *co* będziecie o mojej ambicyi myślały, to mi jest wszystko jedno.

HELENA.

Winszuję... Napisz do niej... napisz... Godna z was para...

JANEK.

No... no... bardzo proszę... Nie przyszedłem tu, żeby nauk moralnych słuchać. Masz jej adres?

HELENA

(wzrusza ramionami — milczy).

JANEK.

Nie raczysz mi już nawet odpowiadać... Dobrze... Dowiem się od Henryka... A ona więcej warta, niż wy wszyscy razem. —

HELENA

(zwraca się do Ady z gestem bezsilnego oburzenia).

JANEK.

Tak... ona jest głębsza kobieta... a wyście jej odczuć nie potrafili... Odepchnęliście ją jak najbrutalniej.

ADA.

Mój Janku sam przecież najbardziej przeciwko niej powstawałeś.

JANEK.

Powstawałem, czy nie powstawałem, to jest moja rzecz, ja nie mówię o sobie, tylko o was.

HELENA.

I będziesz się w żywe wypierał?

ADA.

Ja przecież pamiętam doskonale... Mówiłeś, że siostra to dobra, póki się jest w gimnazjum.

HELENA.

A tego dnia, jak cię Radosławscy odpalili...

JANEK.

A dzisiaj mnie Radosławski spotkał na ulicy i tak mi się nisko uklonił.

ADA.

Pierwszy ci się uklonił?

JANEK. Żebyś wiedziała, jak nisko jeszcze... Mówię wam, że najlepsza rehabilitacja, to pieniądze.

ADA.

I tobie nie wstyd będzie ludziom w oczy spojrzeć?

HELENA.

Ale ona mu nie da przecież.

JANEK.

Zobaczymy.

ADA.

Ależ ma się rozumieć, że nie da... Ona by dała...

HELENA.

Ani grosza!

ADA.

I tylko się na wstyd narazisz. '

JANEK.

A wam zazdrość... Bo każda z was pierwszaby się rzuciła, tylko że po tem, jakeście się z nią obesзли...

HELENA.

My nie mamy za dużo, ale dzięki Bogu tyle, że nam starczy i niczyjej łaski nie potrzebujemy.

ADA.

Ja, choćby mi sama ofiarowywała, tobym się nie tknęła i mama też.

JANEK.

Znasz bajkę o lisie i kwaśnych winogronach.

HELENA.

Ależ ty nic nie dostaniesz, nie ciesz się...

ADA.

Zobaczysz... Jak tu była w Warszawie, to nawet do niej do hotelu nie poszedłeś, a teraz miałaby ci przysyłać.

JANEK.

Nie poszedłem... nie miałem czasu... Psiakrew, że też człowiek nigdy nie może przewidzieć.

ADA.

I teraz się spodziewasz...

HELENA.

Od niej jeszcze.

JANEK.

A spodziewam się i przyśle mi, a z wami nie będę dłużej gadać (we drzwiach zwraca się do Ady).
A ty leć roznoś plotki po mieście... (wybiega).

Scena trzecia.

HELENA — ADA.

ADA.

Jakież on ordynarny się robi.

HELENA.

Przestaje przecież w najgorszych towarzystwach...

ADA.

Wszystko już zatracił.

HELENA.

Ciekawam, jaki to koniec będzie.

ADA.

Ona mu nie przyśle...

HELENA.

A kto ją wie... Nie... nie mówmy już dłużej o tem, bo ja się tu na miejscu rozchoruję (chodzi nerwowo po pokoju).

To ludzkie wyobrażenie przechodzi. Tyle lat żyję na świecie i pierwszy raz widzę coś podobnego, żeby się tak wszystko ułożyło.

ADA.

Ja muszę lecieć... Mama tam czeka.

HELENA.

Posiedź jeszcze chwilę Ado... Nie zostawiaj mnie samej... Zaraz tu Olszewski przyjdzie.

ADA.

Ale tylko chwilkę... Ciekawa jestem, czy on naprawdę napisze.

HELENA.

On? A któż mu zabroni?... Władną rodzinę weszłam.

ADA.

Rzeczywiście ci Topolscy... Wprawdzie to nasi krewni, ale bezstronnie mówiąc... Tylko jeden Henryk porządny człowiek, —

HELENA.

Ale za to niedołęga.

ADA.

A przecież tak energicznie interesy prowadzi...

HELENA.

Interesy... interesy... Jak gdyby mężczyzna po to się żenił, żeby interesy prowadzić.

ADA.

Czyż on nie myśli o tobie.

HELENA.

O, myśli... Do myślenia jest jedyny... Boże i za co ja to wszystko muszę znosić?... za co?

ADA.

Słuchaj Helu...

HELENA.

Mówiłaś co do mnie... Przepraszam cię... nie uważałam.

ADA.

Ja... tak sobie myślę... a jeżeli Mania naprawdę postanowiła się zmienić? _

HELENA.

Ha... ha... Jaka ty jesteś naiwna...

ADA.

Czemu naiwna? Przecież się tyle dziwacznych rzeczy dzieje na świecie.

HELENA.

Pocóż ma się zmieniać? Czy jej źle?

ADA.

No, to się może znudzić.

HELENA.

Takie życie, jak nasze, prędzej się znudzi.

ADA.

Ale gdyby... Przypuśćmy tak tylko...

HELENA.

Więc.

ADA.

Gdyby się naprawdę zmieniła, postanowiła odpokutować za to... ja nie wiem, ale mama mówi, że należałoby jej przebaczyć.

HELENA.

Przebaczyć?

ADA.

Dziś rano mówiłyśmy o tem z mamą... Mama dała nawet na mszę do Przemienienia Pańskiego.

HELENA.

Więc i wy już jej stronę trzymacie?

ADA.

Ależ nigdy!... Myśmy tylko tak z mamą myślały o tem, że gdyby się szczerze zmieniła...

HELENA.

Nie... nie... Ja jej pieniędzy nie potrzebuję.

ADA.

Ależ Helu... tu przecież wcale o pieniądze nie chodzi... mowy niema... skąd? Tyś mnie nie zrozumiała chyba... My z mamą bardzo skromnie wprawdzie żyjemy, musimy sobie wielu rzeczy odmawiać, lecz to, co mamy, starczy nam do końca życia. i nie potrzebujemy niczyjej łaski... A od niej byśmy już za nic w świecie nie wzięły... Dziś rano mama właśnie mówiła, że dobrzeby jej było dla zdrowia wyjechać, gdzieś na lato zagranicę, no i wziąć lepsze mieszkanie, bo tam u nas wilgoć, ale powiedziała, powtarzam ci jej własne słowa: choćby się wszyscy z Manią pogodzili, jabym od niej ani grosza nie wzięła!... Wolę umrzeć!... Tak, umrzeć w tej norze! Aż spłakałyśmy się obie.

HELENA.

Skąd wam to na myśl przyszło ?

ADA.

Tak rozmawiałyśmy z mamą... Ja doprawdy nie wiem... Gdyby ta jej skrucza była szczerą...

HELENA

Jakto szczerą, kiedy do Władysława nie chce wrócić?... Szczerą... Żebyś ty była widziała te jej komedye.

ADA.

Wiem... wiem... opowiadałaś mi, ale może to był właśnie pierwszy krok z jej strony... jeszcze się wahała... a teraz po jego śmierci...

HELENA.

Dlaczegożby się miała zmienić?

ADA.

Umarł... coś... śmierć, pogrzeb... przytem taka zmiana losu, to nie może nie pozostać bez wpływu... Nie wiem... przypuszczam tak tylko... Ja również zresztą nie byłabym za tem, żeby się z nią godzić...

HELENA.

Nie... nie... to już ja na to nie pozwolę... Dopóki ja żyję, dotąd ona do rodziny nie wróci...

ADA.

Tybyś jej nie przebaczyła?

HELENA.

Dopóki żyję! I gdyby się nawet ten głupi Władysław z nią pogodził, jabym jej do siebie nie wpuściła... I Henryk musiałby zerwać z nimi.

ADA.

Nawet, gdyby się z Władysławem pogodziła... E, to mnie się zdaje, że nie masz racyi.

HELENA.

A cóż mnie to obchodzi, czy ja mam rację, czy nie!... Ja jej nienawidzę... rozumiesz... nienawidzę! Żebym mogła, tobym ją..., niewiem, cobym z nią zrobiła, oczy bym wydrapała... Wszystko! wszystko!... Grosza przecież nie miała, wyszła za męża, rzuciła męża, bawiła się, używała, a teraz miliony jej zapisują... I ten osioł szaleje dla niej z miłości i chce się z nią godzić... I będzie pani, wielka pani... będzie sobie trzymała kochanków i powozami jeździła zamiast w szpitalu na barłogu zdychać.

ADA.

Helu!

HELENA.

li, nie nudź mnie! Taka ma wszystko, takiej wolno się nie liczyć z niczem, o nikogo nie dbać, a ja muszę się tu dusić... Cóż tak patrzysz na mnie? Ja także mam prawo, czegoś od życia wymagać...

ADA.

Chyba jej nie zazdrościsz?

HELENA.

Właśnie, że zazdroszczę... I ty jej zazdrościsz... Po co ta cała komedia
(przez kilka chwil chodzi wzburzona po pokoju).

ADA.

Ja muszę iść.

HELENA.

Poczekaj jeszcze chwilę... Taka jestem rozdrażniona, że sama nie wiem, co mówię.

ADA.

Pomyśl, coby to za plotki były gdyby kto usłyszał.

HELENA.

Moja droga, tylko ty przedewszystkiem nie powtarzaj tego mamie. Wiesz, że w zdenerwowaniu, to się różne rzeczy mówi, których się wcale nie myśli.

ADA.

Skądżeż... czy ja powtarzam co kiedy?

HELENA.

No, bo możesz tak w rozmowie z mamą.

ADA.

Nie, nie, nie... Bądź najzupełniej pewna... Ja cię doskonale pojmuję... bo w zdenerwowaniu, to przecież bardzo często się mówi, ot tak, żeby powiedzieć... Ale ty się Helutko zanadto poddajesz, to ci może zaszkodzić.

ADA.

(wchodząc).

Pan Olszewski przyszedł.

LOKAJ.

Poproś... *(Lokaj wychodzi).*

ADA.

Ale ja naprawdę teraz zaraz już muszę uciekać...

Scena czwarta.

HELENA — ADA — OLSZEWSKI.

OLSZEWSKI

(wchodząc).

Witam panie...

HELENA.

Niechżeż pan siada... Napije się pan z nami herbaty.

ADA.

Ja panu sama przyniosę *(wychodzi).*

OLSZEWSKI

(gdy Ada znikła za drzwiami).

Muszę z tobą sam na sam pomówić... wypraw ją jako...

HELENA.

Ona sama pójdzie niedługo... Cóż znów takiego ?

ADA

(wraca z filiżanką herbaty — Olszewski podbiega ku niej).

OLSZEWSKI.

O najmocniej panią przepraszam i dziękuję.

ADA.

Poczęstowałam pana herbatą, a sama muszę uciekać.

OLSZEWSKI.

Do mamy.

ADA.

Wyszłam z domu na chwilę, tymczasem Hela przytrzymała mnie tak długo. Nie bierzcie mi państwo tego za złe, że tak niegrzecznie opuszczam towarzystwo, ale doprawdy muszę wracać.

OLSZEWSKI.

Z pani jest idealna córka.

ADA.

Mama jest trochę słaba...

OLSZEWSKI.

Rzeczywiście... Jakżeż się czuje?

ADA.

Rozdrażniona jest ogromnie... Bo to głównie zdenerwowanie... Z powodu różnych przykrości.

OLSZEWSKI.

A!

ADA.

Mama jest tak na wszystko wrażliwa... Gdzież mój kapelusz? Położyłam go w tym pokoju...

HELENA.

Wiem, że musisz iść, więc cię nie zatrzymuję. Inaczej bym cię nie puściła. Przyjdiesz jutro?

ADA.

Na chwilę po południu. Jutro może już i mama wyjdzie, tobyśmy razem przyszły.

HELENA.

O, doskonale.

OLSZEWSKI.

Na zdenerwowanie, to najlepszy sposób... rozerwać się trochę.

ADA.

A my z mamą żyjemy jak na pustyni. Nigdzie nie bywamy, nigdzie... Ale bo też wszystkie rozrywki tak drogo kosztują... Czy teatr, czy koncert... No do widzenia państwu.

OLSZEWSKI.

Moje uszanowanie. Mamie proszę rączki odemnie ucałować.

(Ada wychodzi).

Scena piąta.

HELENA — OLSZEWSKI.

OLSZEWSKI

(przysuwa się do Heleny — chce ją objąć).

HELENA.

Czekaj, ona tu jeszcze może wrócić. Jakież ty jesteś nieostrożny... Wiesz, że zawsze po dziesięć razy wraca, nim wyjdzie... No, teraz możesz pocałować... O czym chciałeś ze mną pomówić?

OLSZEWSKI

(odsuwając się gwałtownie od niej).

Ach! nie przypominaj mi o tem!

HELENA.

Cóż się stało?

OLSZEWSKI.

Hm...

HELENA.

Znowu ci pieniędzy potrzeba?

OLSZEWSKI.

Ale... gorzej.

HELENA.

Mów... co takiego?

OLSZEWSKI

(wstaje zaczyna spacerować po pokoju, nerwowo bawiąc się rękawiczkami).

HELENA.

Mów, co się stało?... No cóż?... mówże człowieku!... Może nas kto podpatrzył?...

OLSZEWSKI.

Ale... co za pomysł.

HELENA

Może moje listy kto przejął?... ty je chowasz...

OLSZEWSKI.

Tak. — — —

HELENA.

(chwytając się za głowę).

Jezus Marya!

OLSZEWSKI

(podbiegając ku niej).

Uspokój się... już je mam u siebie z powrotem...

HELENA.

Tyle razy błagałam cię, żebyś je niszczył, tyle razy!... Nie... Postanowiłeś mnie zgubić...

OLSZEWSKI.

Helu !

HELENA.

Czemuż nie paliłeś ?

OLSZEWSKI.

Bo to dla mnie najdroższe skarby.

HELENA.

Najdroższe skarby!... Jakiś ty głupi!... Musisz je wszystkie zniszczyć koniecznie i to jak najprędzej. Mnie musisz przynieść i ja sama popalę... Rozumiesz... Jezus Marya... Jezus Marya... Henryk od kilku dni taki ponury, pewno to już do niego doszło... I co ja teraz będę robiła?

OLSZEWSKI.

Helu, przysięgam ci, że niema najmniejszego niebezpieczeństwa.

HELENA.

Niema niebezpieczeństwa... ktoś czytał moje listy i niema niebezpieczeństwa!

OLSZEWSKI.

Ale nie czytał.

HELENA.

Więc cóż opowiadasz?

OLSZEWSKI.

Przejął... chciał czytać, tylko, że ja na to nie pozwoliłem... A dziś je zniszczę... Oddam ci i sama zniszczysz.

HELENA.

Ja nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

OLSZEWSKI.

Posłuchaj mnie... Tylko na miłość Boga spokojnie... Przedewszystkiem uprzedzam cię, że niema najmniejszego niebezpieczeństwa...

HELENA.

Mówże już raz o co chodzi... Kto te listy przejął?

OLSZEWSKI.

Jeden mój znajomy.

HELENA.

Ale kto?

OLSZEWSKI.

Nie znasz go... Dość, że przejął i ja...

HELENA.

Jak przejął, to przeczytał i dowiedział się...

OLSZEWSKI.

Właśnie że nie, bo ja je w tej chwili wykupiłem.

HELENA.

Wykupiłeś?

OLSZEWSKI.

Tak, bo to taki szubrawiec... Myśmy wszyscy z nim zerwali stosunki... Ale nie miałem na razie na wykupno pieniędzy...

HELENA

I co?

OLSZEWSKI.

A musiałem ratować twój honor...

HELENA.

Więc?

OLSZEWSKI.

A przyznasz, że, jak chodzi o cześć ukochanej kobiety, to mężczyzna powinien być bezwzględny.

HELENA.

Nie męcz mnie dłużej!

OLSZEWSKI.

No więc musiałem skądś zdobyć... i... i... potrzeba było natychmiast działać... podpisałem na wekslu twojego męża.

HELENA.

... Ach!

(zasłania rękami oczy i chwieje się, jakby miała upaść).

OLSZEWSKI.

Helu! co? ty mdlejesz... nie wiele... kilkaset rubli za ledwie... Musiałem... Tak się złożyło, że nikogo ze znajomych nie miałem na razie w Warszawie.

HELENA.

I ty sądzisz, że ja uwierzę tym bajkom.

OLSZEWSKI.

Jakto?

HELENA.

Mogłeś przecie, coś mądrzejszego wymyślić... Ha... ha... ha... ratował mój honor i dla tego musiał podpisać na wekslu sfalszować... Nie, ja tak głupia nie jestem!...

OLSZEWSKI.

Helu... nie krzywdź mnie... Przysięgam ci, za tydzień trzeba weksel wykupić... podpisałem wtedy, bo sądziłem, że będę miał za tydzień pieniądze. Byłem najświęciej przekonany... Tymczasem...

HELENA.

Spotkał cię zawód — jak zawsze...

OLSZEWSKI.

Na wszystko, co mam najświętszego... na twoją miłość.

HELENA.

Nie prawda, nie kłam... Wcale mnie nie kochasz... Gdybyś mię kochał, tobyś nie potrzebował tyle pieniędzy.

OLSZEWSKI.

Więc ty wątpisz ?

HELENA.

Wszystko kłamstwo... Oszukiwałeś mnie, żeby pieniądze wyciągać i bawić się w towarzystwie takich samych, jak ty, przyjaciół.

OLSZEWSKI.

Tak?

HELENA.

Tak... tak... A ja cię kochałam, ja ci wierzyłam... O jakąż ja byłam głupia!...

OLSZEWSKI.

— — —

HELENA.

Czysty oszalał? I skąd ja wezmę na zapłacenie twego weksłu... Henryk mi nieda.... Taka suma... skąd... skąd... ?! A zresztą, co mnie to obchodzi. Jakiś mógł podpisać, to płac teraz.

OLSZEWSKI.

Ale jak nie zapłacę, to się wszystko wyda... (*mierzą się oczami — kilka chwil milczenia*).

HELENA.

Podły jesteś... Znać cię nie chcę,.. słyszysz?...

OLSZEWSKI.

Słyszę... Ale dopóki mnie znasz jeszcze, musimy o tym wekslu pomówić. Za tydzień trzeba go wykupić... inaczej będzie skandal. Pamiętaj, czem mnie to grozi.

HELENA.

Ja nie mam.

OLSZEWSKI.

Wiem, że nie masz, ale możesz mieć każdej chwili.

HELENA.

Skąd?

OLSZEWSKI.

Jakto skąd? Od Mani.

HELENA.

Od Mani?!... Tyś chyba oszalał!... Ja miałabym od niej brać pieniądze, żeby twoje długi płacić! I któż to niby przejął te listy?

OLSZEWSKI.

Mniejsza o to.

HELENA.

Przyznaj się, żeś skłamał.

OLSZEWSKI.

Więc tak — skłamałem.

HELENA.

Widzisz. I tyś mnie we wszystkim tak oszukiwał.

OLSZEWSKI.

Nie, nie oszukiwałem cię nigdy. Dziś pierwszy raz w życiu popełniłem wobec ciebie kłamstwo. Byłem lekkomyślny i teraz muszę za to odpokutować.

HELENA.

Przecież możesz jeszcze skąd pożyczyć pieniędzy i wykupić ten nieszczęśliwy weksel.

OLSZEWSKI.

Nikt mi nie da. Spodziewałem się, że teraz dostanę, zawiodło mnie to... koniec.

HELENA.

I cóżty zrobisz?

OLSZEWSKI.

Nic... Będę czekał, aż inni ze mną coś zrobią.

HELENA.

Ale kto? Cuda się przecież nie dzieją.

OLSZEWSKI.

Ja wcale nie mam cudu na myśli. Będę czekał, aż mi wytoczą proces o sfałszowanie podpisu.

HELENA.

To nie może wyjść na jaw!

OLSZEWSKI.

Musi.

HELENA.

Za to się do więzienia idzie.

OLSZEWSKI.

Tak.

HELENA.

I ty...

OLSZEWSKI.

Jestem bezsilny. Cóż mam robić. Muszę sobie powiedzieć: niech się dzieje, co chce...

HELENA.

Przytem i ja mogę być skrompromitowaną...

OLSZEWSKI.

Zapewne... Ja naszego stosunku nie wydam... Ale pewne podejrzenia... dlaczego podrobiłem ten podpis a nie inny.

HELENA.

Jezus Marya... Jezus Marya! —

OLSZEWSKI.

Ja mam jeden ratunek poprostu: w łeb sobie palnąć.

HELENA.

Ale to się przecież wyda i tak...

OLSZEWSKI.

Wyda. Krwią można uratować honor, lecz weksla wykupić niepodobna.

HELENA.

Jezus Marya. — — —

OLSZEWSKI.

No, do widzenia, Helu... zapomnijmy na chwilę o wszystkim... Pozwól mi się po raz ostatni pocałować.

HELENA.

A... daj mi spokój... I na co ty tyle pieniędzy wydajesz?

OLSZEWSKI.

Na co?... Muszę żyć...

HELENA

Dlaczegoż nie pracujesz jak inni... dlaczego nic nie robisz?

OLSZEWSKI

(z westchnieniem).

Hm... I ty się o to pytasz ?

HELENA.

Przecież tysiące ludzi żyje... zarabia...

OLSZEWSKI.

Wiem... wiem.....

HELENA.

A ty nie możesz... -

OLSZEWSKI.

Rzeczywiście... Nie chce mi się pracować... O, to jest łatwy zarzut i każdy mi go zrobić potrafi... Nie dziwię się wcale... wszelkie pozory są przeciwko mnie... Jestem młody, zdrowy, silny... cóż tam jeszcze? Tak... więc gdybym tylko chciał, tobym mógł... Nic łatwiejszego, jak tak sądzić ludzi na oko...

HELENA.

Cóż ci przeszkadza?

OLSZEWSKI.

To prawda... Co mi przeszkadza... Niema namacalnej przyczyny... Wszyscy mniej więcej mogą to powiedzieć... Innymby się nie dziwił... ale... Chociaż, tak... To wynika z całego naszego stosunku.

HELENA.

Co ty pleciesz?

OLSZEWSKI.

Prawda... przepraszam cię... Hm... tak...

HELENA.

Człowieku, mówżeż po ludzku... Ty chyba naprawdę oszalałeś... Co to wszystko ma znaczyć?

OLSZEWSKI.

Nie oszalałem, tylko sądziłem, że ty... mnie zrozumiesz. Ja oddając ci wszystko, com miał, nie szukałem w naszej miłości tylko zmysłowych pieszczot... Ha... ha... ha... łudziłem się, że znajdę w tobie tę kobietę, o której tak dawno marzyłem... Pamiętasz może, mówiłem ci raz, że nimem cię poznał, taką pustkę czułem naokoło siebie, że miałem już zamiar życie sobie odebrać... To było... tego wieczoru... przed rokiem... pierwsze chrabąszcze latały po ogrodzie.

HELENA.

Pamiętam.

OLSZEWSKI.

Ja nie umiem ci tego wszystkiego opowiedzieć zresztą... W duszy może czuję więcej niż inni, ale pięknie mówić nie potrafię... nie jestem poetą, tymczasem...

HELENA.

Co?

OLSZEWSKI.

.... Nie... Mniejsza o to zresztą...

HELENA.

Powiedz, co miałeś powiedzieć.

OLSZEWSKI.

Nic... nic.

HELENA.

Dlaczegoż? Proszę cię powiedz.

OLSZEWSKI.

Czy to warto?

HELENA.

No, ale ja cię proszę.

OLSZEWSKI.

Dobrze... Będę szczerzy... Ja mam taką naturę, że nie umiem w sobie ukrywać tego, co mnie boli... sądziłem, że ty jesteś nieprzeciętną kobietą, że potrafisz wnikać w głąb duszy ludzkiej.

HELENA.

Ja potrafię wnikać...

OLSZEWSKI.

Pozwól... Szukałem w tobie serca, a znalazłem co... pocałunki i pieszczoty... za które ty mi płaciłaś.

HELENA.

Nieprawda.

OLSZEWSKI.

Prawda, straszna prawda,... jeżeli brałem od ciebie pieniądze, to jak brat od siostry... a tymczasem — to była zapłata.

HELENA.

Jak ty możesz mi coś podobnego mówić?

OLSZEWSKI.

Ale teraz odpokutuję za swoje szaleństwo... to się mści zawsze.

HELENA.

Nieprawda... nieprawda... ja nigdy nie byłam taka jak mówisz.

OLSZEWSKI

(beznadziejny ruch głową).

HELENA.

Ja cię zupełnie szczerze kochałam.

OLSZEWSKI

(powstając). Kochałaś... to znaczy, że teraz nie kochasz... sama to przyznajesz?

HELENA.

Co przyznaję ?

OLSZEWSKI.

No powiedz... niech się dowiem wszystkiego od razu!... Niech się raz skończy!...

HELENA.

Pocoś ty podpisywał ten nieszczęśliwy weksel.

OLSZEWSKI.

Nie kochasz?

HELENA,

ja tego wcale nie mówiłam... ja teraz zła jestem na ciebie. **OLSZEWSKI.**

Ale odpowiedz mi na pytanie.

HELENA.

Ja teraz myślę, jakby wykupić ten nieszczęśliwy weksel... O Boże, Boże!... I na co tobie było potrzeba na raz tyle pieniędzy?

OLSZEWSKI.

Albo to... Dlaczego ja nie pracuję... Dawniej pracowałem... o potrafiłem nawet ciężko pracować... ale na to potrzebny jest spokój... rozumiesz?... Niewiele... drobnostka... spokój... Żeby przyjść, usiąść, mózgi skupić myśl na jednym przedmiocie... ale kiedy każdy nerw drży, kiedy się chwili tego upragnionego spokoju znaleźć nie może... Kiedy się wciąż chce przed samym sobą uciekać... o to nie jest tak łatwo pracować.

HELENA.

Ja wiem.

OLSZEWSKI.

A odkąd ciebie poznałem, odtąd wciąż żyję, jak obłąkany. Zasypiam i budzę się z tą jedną myślą, dlaczego ja cię nie mogę porwać, unieść, gdzieś daleko od tego nędznego zgiełku, otoczyć cię tym przepychem, do jakiego ty jesteś stworzona, ogród rajski ci odbudować na ziemi.

HELENA.

Biedaku... Ale jak można tak się nie zastanawiać nad tem, co się robi?

OLSZEWSKI.

Jak ja mogłem pracować... jak... powiedz, wytłumacz!... A żyć musiałem, musiałem się ubierać, bo chciałem przecież, żeby ten, któregoś ty pokochała, nie wyglądał tak, jak ostatni nędzarz. I wydatki rosły, rosły... brałem od ciebie...

HELENA.

Czemuś mi wtedy nie powiedział?

OLSZEWSKI.

A potem już mi przez gardło przejść nie chciały te ciągle prośby o pieniądze... ta żebranina...

HELENA.

Nie mów tak.

OLSZEWSKI

(ukrywając twarz w dłoniach).

I... podpisałem, łudziłem się, że będę miał pieniądze, byłem święcie przekonany... a, chyba już na nic w życiu liczyć nie można, gdy to mnie zawiodło...

HELENA.

A czemużeś kłamał o tych listach?

OLSZEWSKI.

Czy ja wiem... Ja byłem niepoczytalny... jak waryat... nie śmiałem ci powiedzieć. Wiesz jaki ja jestem drażliwy w sprawach pieniężnych...

HELENA.

Ale co tu zrobić?...

OLSZEWSKI.

Ja ci radzę...

HELENA.

Nie, nie,... to szaleństwo!

OLSZEWSKI.

Dlaczego ? —

HELENA.

Zastanów się tylko... Ja miałabym brać od niej?... Ale!...

OLSZEWSKI.

Helu... życie należy brać poważnie... Już nie o mnie mi chodzi, ale o was, o całą rodzinę... Czekaj ja wiem... Powiesz mi, że z takiego źródła... ale na ludzi nie można tak odrazu ciskać kamieniem potępienia... nawet nie wolno !

HELENA.

Ty chcesz jej bronić...

OLSZEWSKI.

Pozwól... krótko... opowiadałaś mi o niej Przyjechała, żeby się z wami pogodzić. Dlaczego wiodła takie życie... bo szukała miłości, a pamiętaj, że miłość rozgrzesza wszelkie zbrodnie... Zrozum... ta wielka tęsknota za czemś niedoścignionem, która człowieka pochłania... I ty musisz przechodzić chwile takiej tęsknoty, prawda?

HELENA.

O, ale to jest inna.

OLSZEWSKI.

No tak, trochę. Ale nie odbiegajmy od przedmiotu... Więc uciekła... Ale zaraz... Kochasz mnie?

HELENA.

Daj mi spokój... ja dziś jestem taka zła na ciebie.

OLSZEWSKI.

To sam sobie odpowiem: kochasz. I pomyśl teraz, że uciekasz ze mną za granicę i tam żyjemy... Czy to byłaby zbrodnia?

HELENA.

O, to zupełnie co innego.

OLSZEWSKI.

Potępiałybyś siebie?

HELENA.

Jak możesz porównywać.

OLSZEWSKI.

Ja nie porównywan bynajmniej. Ja tylko stawiam przykład. Cóż ona w zasadzie zrobiła. Uciekła od męża i żyła z człowiekiem, którego kochała.

HELENA.

Cóż ty mi będziesz opowiadał?

OLSZEWSKI.

Trochę musiała go kochać - a to już w każdym razie jest miłość. Inaczej by jej nie zapisał majątku. Sądzisz, że mężczyzna nie potrafi odczuć tego, czy go kobieta naprawdę kocha! I jeszcze taki pan, wykwinny arystokrata. Petroniusz.

HELENA.

On był taki wykwinny?

OLSZEWSKI.

Współczesny Petroniusz. Zresztą mniejsza o to. Pomyśl. Takie skarby. Jakby je twój mąż wzięli zaczął obracać... jakim przepychem mogłabyś być otoczona... Tak ilu ty rzeczy musisz sobie odmawiać, a jesteś jedną z tych kobiet, które jak ryba w wodzie muszą żyć w atmosferze zbytku i bogactwa.

HELENA.

To prawda, ja już mam takie usposobienie...

OLSZEWSKI.

Grzechem byłoby marnować te skarby. Bo na cóż ona je użyje? Rozkradną...

HELENA.

Ale ona się z nami teraz nie pogodzi...

OLSZEWSKI.

Pogodzi, tylko nie każcie jej do Władysława wracać.

HELENA.

Nie... nie... Ja jej nienawidzę.

OLSZEWSKI.

Przecie nie potrzebujesz się z nią przyjaźnić.

HELENA.

Nie, nie, zresztą o tem później będziemy mówili. Ja teraz o tym wekslu myślę... To się wyda, to się musi wydać. I w ostatniej chwili mi mówisz. Skąd ja przez tydzień wezmę pieniędzy?

OLSZEWSKI.

Mamy trzy tygodnie czasu.

HELENA.

Mówiłeś, że za tydzień.

OLSZEWSKI.

Za tydzień... Omyliłem się w zdenerwowaniu... Mnie się już w głowie mięszało... Zresztą im wcześniej pomyślimy, tem lepiej.

HELENA.

A ja ci tego nigdy nie przebaczę.

OLSZEWSKI.

Cicho!...

(Wchodzi Ada).

Scena szósta.

ADA — HELENA — OLSZEWSKI.

ADA.

Ja się wróciłam na chwilę.

HELENA.

Zapomniałaś czego ?

ADA.

Nie... Panie Olszewski, pan wybaczy, że ja na minutę zabiorę Helenę do drugiego pokoju. Mam jej kilka słów do powiedzenia, a to domowe sprawy, więc nie chcę pana niemi nudzić... Pan się nie będzie gniewał, prawda? Pan taki dobry znajomy, że się nie potrzebujemy krępować... Na parę sekund.

OLSZEWSKI.

Niech panie sobie nie robią ze mną najmniejszych ceremonij. Zresztą i tak już czas na mnie...

ADA.

Nie... nie... nie... Pan tu posiedzi, a Helena będzie za chwilę, za połowę chwili z powrotem.

OLSZEWSKI.

Zapewniam panią, że muszę już iść rzeczywiście. Niech pani Helena poświadczy. Przed chwilą właśnie żegnałem się już z nią.

ADA.

Bo ja pomyślę... Naprawdę pan już odchodził?...

OLSZEWSKI.

Ależ naprawdę... Do widzenia paniom... *(wychodzi)*.

Scena siódma.

ADA — HELENA.

HELENA.

Moja Ado, co to ma znaczyć... Wpadasz jak burza, wystraszasz gości... Cóż masz takiego ważnego do powiedzenia?

ADA.

Nic.

HELENA.

Nie... albo ja już zmysły tracę, albo wyście wszyscy powaryowali...

ADA.

To jest, ja ci mam jedną bardzo ważną rzecz powiedzieć, tylko nie gniewaj się na mnie... Inaczej bym się przecież nie wracała, a Olszewski się nie obrazi...

HELENA.

Mówżeż już raz, co masz mówić.

ADA.

Mnie właśnie przyszło na myśl... tylko wysłuchaj mnie spokojnie... ja mówię to, co mi się zdaje... Wy się musicie z Manią pogodzić.

HELENA

— — —

ADA.

Tak, bo ona teraz ma pieniądze i napewno przyjedzie do Warszawy, a jak przyjedzie i będzie z całą rodziną w niezgodzie, to wtedy dopiero zaczniesz skandale wyprawiać, żeby wszystkim dokuczyć... No nie?... Przy jej usposobieniu... Więc koniecznie, trzeba mieć jakiś wpływ na nią.

HELENA.

To jest racya.

ADA.

Widzisz... Ja tylko o tem myślę, żeby wam przykrości zaoszczędzić. Bo cóż my z mamą?... Nas to nie dotyczy prawie wcale... Żyjemy tak jak na pustyni, więc czy tam będą, jakie plotki, czy nie, to nam wszystko jedno.

HELENA.

Nad tem trzebaby się zastanowić.

ADA.

I to jak najprędzej. Ona może przyjechać dziś... wieczornym pociągiem... już może jest w Warszawie.

(Wchodzi Topolski).

Scena ósma.

ADA — HELENA — TOPOLSKI.

ADA.

O, Henryk... jak to dobrze, żeś przyszedł...Ja tu mówiłam przed chwilą z Helą o bardzo ważnych sprawach, o Mani, ona ci powtórzy, a ja już muszę lecieć.

TOPOLSKI.

Co takiego? Nie pali się przecież...

ADA

Nie... nie... nie... Mama tam sama jedna w domu całe popołudnie. Już się nie żegnam nawet.
(*Wybiega*).

Scena dziewiąta.

TOPOLSKI — HELENA.

TOPOLSKI.

Zawsze postrzelona...

HELENA.

Nad tem jednak, co mi mówiła teraz, wartoby się poważnie namyśleć.

TOPOLSKI.

A cóż ci mówiła?

HELENA.

O Mani.

TOPOLSKI.

O Mani?... co?...

HELENA.

Usiądź... porozmawiamy... Mania dostała teraz taki olbrzymi majątek i napewno przyjedzie do Warszawy. Lada dzień może tu już być... Jest z całą rodziną w niezgodzie, więc zacznie się jak najgorzej prowadzić... przez zemstę... Otóż czy nie byłoby jednak najlepiej już się pomimo wszystko z nią pogodzić?

TOPOLSKI.

Ja o tem samem myślałem.

HELENA.

A dlaczegożeś nic nie mówił?... ";

TOPOLSKI.

Czyż z tobą można było spokojnie mówić o Mani? —

HELENA.

To co innego... Ja swego zdania o niej do dziś dnia nie zmieniłam, ale w życiu trzeba politykować... Ile to się rzeczy robi... A to przez wzgląd na nas samych jest, jak myślę, konieczne.

TOPOLSKI.

Więc napiszę do niej.

HELENA.

Napisz!...

TOPOLSKI.

A co Władysław na to powie?

HELENA.

Władysław... Władysław... Nie możemy dla jego dziwactw narażać całej rodziny... On się nie zgodzi, bo on chce, żeby Mania do niego wróciła, lecz to trudno.

TOPOLSKI.

A jeśli Mania nie zechce się teraz z nami pogodzić.

HELENA.

Trzeba jej tak napisać, żeby zechciała... Ja ci już pomogę ułożyć list... Jej zresztą bardzo na tem zależy.

TOPOLSKI.

Może pomyśleć, że to dla pieniędzy...

HELENA.

Może... może... Ale wszystko zależy od tego jak się wzięść do rzeczy... Trzeba napisać, ciepło, serdecznie.

TOPOLSKI.

Bo, Bogiem a prawdą, ona taka zła nie jest.

HELENA.

Zapewne, wiele jest gorszych kobiet.

TOPOLSKI.

Tylko umieją grać komedię, a ją zgubiła szczerłość.

HELENA.

Więc napiszemy.

TOPOLSKI.

Ale to już po kolacyi... Ja muszę trochęmyśli zebrać.

HELENA.

Ale, i przedewszystkiem powiedz Jankowi, żeby on nie pisał do niej. Bo wyobraź sobie, że chce pisać o pieniądzu. Był tu i dopytywał się o jej adres.

TOPOLSKI.

Ten ma pomysły!

HELENA.

Ja ci nawet nie chciałam tego mówić, żeby ciebie nie drażnić... Co za brak ambicyi!...

TOPOLSKI.

Ale wszyscy będą opowiadali, żeśmy się nią pogodzili dla pieniędzy.

HELENA.

A tak opowiadają, że ty masz siostrę, która jest taką panią w Wiedniu... Na to, co wszyscy mówią, nie można zważać.

TOPOLSKI.

A ostatecznie... za to, co myśmy się przez nią wycierpieli, należy się i nam jakieś wynagrodzenie.

HELENA.

Gdybyś ty wziął takie pieniądze w ręce i zaczął nimi obracać, to przecież nie my tylko byśmy zyskali... Cały kraj.

TOPOLSKI.

Ba!... Ja potrzebuję kapitałów... kapitałów... Niech urzeczywistnię choć jeden mój pomysł, a tysiące ludzi znajdzie chleb i dobrobyt... Tylko... czym ja mogłem rozporządzać... Teraz dopiero miałbym wolną rękę... Pół miliona... Pół miliona... (*spaceruje rozmarzony po scenie*).

HELENA.

Jak to jest w piśmie świętem powiedziane: "kto ze łzami sieje, ten ze śmiechem zbiera" !... To tak, jakby my... tyleśmy przez nią mieli ciężkich zmartwień, a teraz wszystko może się zmienić na dobre... Czy ty masz w szafce pismo święte!...

AKT IV.

Ten sam pokój. Słoneczne wiosenne rano Na stoliku wielki bukiet kwiatów.

Scena pierwsza.

TOPOLSKI — HELENA — ADA — JANEK.

ADA.

Jeszcze śpi...

HELENA.

Zdrożona... Całą noc jechała.

ADA.

Tak, nie trzeba jej budzić... Niech wypocznie... To ogromnie męczy... Ja wiem, że ile razy jadę koleją choćby godzinę, to jestem potem strasznie wyczerpana. I mama ma to samo usposobienie... Ale wyście się jej jeszcze dziś nie spodziewali?

HELENA.

Nie, pisała, że przyjedzie dopiero w niedzielę.

ADA.

I tyś jej jeszcze nie widziała?

HELENA.

Nie jeszcze... Henryk kazał jej się zaraz spać położyć.

ADA.

A cóż mówiła?

TOPOLSKI.

Nic... Parę słów zamieniliśmy. Widziałem, że zmęczona, nie chciałem się z nią wdawać w długie rozmowy.

ADA.

Ale uszczęśliwiona była?

TOPOLSKI.

Strasznie zdenerwowana.

ADA.

Ten bukiet trzebaby jej w pokoju postawić.

HELENA.

Ja pójdę na palcach.

TOPOLSKI.

Nie chodź, niech się wyśpi.

HELENA.

Pójdę, posłucham, może się już obudziła.

TOPOLSKI.

Ale moja droga, jak się obudzi, to zadzwoni na służącą. Całą noc trzęsła się w wagonie, no i tyle wzruszeń.

HELENA.

Dobrze, już... dobrze... nie idę.

ADA.

Jaki dzisiaj śliczny dzień.

HELENA.

Najzupełniejsza wiosna. Zdaje mi się, że się już drzewa zaczynają zielenić.

ADA.

Upał... jakem szła tutaj do was... tak było gorąco, że aż się zgrzałam. Mama też chciała przyjść, lecz tak osłabiona. Nie macie pojęcia, jak ją to wzruszyło... Tak płakała, że jej uspokoić nie mogłam.

(Widząc niecierpliwiony ruch Janka).

Czegóż ty się niecierpliwisz?

JANEK.

Nic... nic...

ADA.

Ciebie wszystko drażni. Ale przyznam ci się, że dziś mógłbyś już dać spokój.

HELENA.

To prawda.

ADA.

Ja od samego rana mam to uczucie, że dziś musi być jakieś święto... Tak jakoś wesoło, słońce tak jasno świeci. Ta pogoda, to dobra wróżba A czy Władysław przyjdzie?

HELENA.

li, waryat...

TOPOLSKI.

I okazało się, że Władysław najmniej z nas ją rozumiał. On nie potrafi szerzej myśleć.

HELENA.

Ja to zawsze mówiłam.

ADA.

A ja Coprawda godziny bym z nim nie wytrzymała.

JANEK.

No, przypuszczam, że Władysław po dwudziestu minutach by od ciebie uciekł.

HELENA.

Jakiś ty Janku się niemożliwy zrobił.

TOPOLSKI.

Czemuż ją prześladujesz?

JANEK.

Ja się nie potrafię przejąć tym waszym sentymentalnym nastrojem... Ale ostatecznie, że Władysław jest idyota, przyznaję.

TOPOLSKI.

On nie umiał z Manią postępować. To wolna nieokiełznana natura, której żadnych pęt narzucać nie można. Nawet miłości. I taka już była od dziecka. Pamiętasz Janku?

JANEK.

Pamiętam... wiecznie się z mamą kłóciła.

TOPOLSKI.

Władysław jest człowiek zimny, zamknięty w sobie, no i pomimo całą filozofię dość płytki... Sądzi, że kobietę można zmusić do kochania... To trudno... serce nie sługa...

ADA.

A Mania zawsze była taka wrażliwa...

TOPOLSKI.

Do niej przecie nie można przykładać tej miary, co do pierwszej lepszej przeciętnej kobiety.

ADA.

Ja wzięłam wczoraj od was te wiersze, które ona w dzieciństwie pisała. Czytałyśmy je z mamą i splotałyśmy się obie. Takie śliczne... Ona by mogła być naprawdę poetką.

TOPOLSKI.

Była nią... Ostatecznie więcej to znaczy, co kto czuje, niż to co pisze.

HELENA.

Ale jak to się szczęśliwie złożyło, żeś ty te wiersze znalazł. To będzie dla niej niezmiernie miła niespodzianka.

TOPOLSKI.

Przypadkiem znalazłem między starymi papierami. To już widocznie sam los chciał.

HELENA.

A odniosłaś je?

ADA.

Nie, mam w domu, ale przyniosę jutro.

HELENA.

Nie zapomnijże. Ona się ogromnie ucieszy. Czytałeś te wiersze Janku?

JANEK.

Ja nie lubię poezji... wolę rzeczywistość... Dobrze, żeście mi o niej przypomnieli... Muszę zaraz weksle wypełnić (*wstaje i kieruje się ku wyjściu Topolski i Helena zabiegają mu drogę*)

TOPOLSKI.

Nie, to już ja na to nie pozwolę.

HELENA.

Taki brak delikatności... Wszystko ma swoje granice!

JANEK.

Czego wy odemnie chcecie?... Cóż mi weksłu nie wolno wypełnić?!

HELENA

(*na stronie do Ady*).

To już nie tylko brak ambycji, to już zezwierzczenie zupełne.

TOPOLSKI.

Zastanów się... Ledwo przyjechała... jeszcześmy się z nią nie przywitani, a ty ją chcesz już napastować o pieniądze.

JANEK.

Ja poczekam, aż wy się przywitacie.

HELENA.

I ty dziś masz zamiar o to ją prosić ?

JANEK.

A na cóż mam czekać?

TOPOLSKI.

Więc ja ci z góry zapowiadam, że u mnie w domu nie pozwolę...

JANEK.

Co za szlachetność!...

TOPOLSKI.

Ja twój sposób postępowania wolę już nie nazywać.

ADA

(*do Heleny*).

Coś podobnego... Świat się kończy !...

TOPOLSKI.

Trzeba mieć przecież choć jakąkolwiek delikatność uczuć. Nie zapominaj, że to kobieta, która bardzo dużo przecierpiała, dziwię się nawet, że to muszę przypominać tobie... rodzonemu bratu.

HELENA.

Jemu tylko o pieniądze chodzi.

JANEK.

Ale się przynajmniej do tego przyznaję.

HELENA.

Co to ma znaczyć?

TOPOLSKI.

Janku, ja cię bardzo proszę, żebyś się nie zapominał... Jesteś w moim domu... Bardzo cię proszę...

JANEK.

No... dobrze... dobrze... Ale blankiet przecież wypełnić mogę.

HELENA.

I jutro możesz.

TOPOLSKI.

Pozwól, ja się tem zajmę. Daj mi słowo honoru, że sam nie będziesz z nią o pieniądzach mówił.

JANEK.

Cóż to ja dziecko jestem?

TOPOLSKI.

Mówię ci, że się tem zajmę. Tylko z góry cię także ostrzegam, żebyś zbyt wiele na to nie liczył. Pomożemy ci wydobyć się z długów, dobrze, ale potem musisz zacząć inaczej żyć i pracować.

HELENA.

Całe życie nie można się bawić.

JANEK.

Dobrze, dobrze,... tylko już nie krzyczcie *{chce wyjść z pokoju}*).

TOPOLSKI.

Po cóż ty tam chcesz iść?

JANEK.

Z pokoju mi wyjść nie wolno ?

HELENA.

Nie, żeby nawet takiej chwili nie umieć uszanować...

JANEK.

Takiej chwili... święto rodzinne!... Przypomnijcie sobie, coście przed tygodniem o niej mówili.

TOPOLSKI.

Potępialiśmy ją, ale niesłusznie. I dziś to przyznajemy. Mania postępowała lekkomyślnie, poprostu szalenie, lecz nigdy nie była złą... Odpokutowała za swoje grzechy ciężko, chce się zmienić, zacząć inne życie, powinniśmy jej do tego całym sercem dopomódz.

ADA.

Potępiał, to bardzo łatwo.

TOPOLSKI.

Pamiętaj, że siostra, żeby nie wiem jak nisko upadła, nie przestaje być siostrą.

HELENA.

Nie, ja tego pojąć nie mogę... Czy ciebie rzeczywiście to nic nie wzrusza, że ona na nowo zaczyna teraz być porządną kobietą?

JANEK

(macha beznadziejnie ręką, wraca, siada w fotelu i zapala papierosa).

TOPOLSKI.

Nie mówmy już o tem, bo ja czuję, że mi spokoju zaczyna brakować...

ADA.

Święta prawda. On zawsze wszystko popsuć musi.

TOPOLSKI.

Wolno ci ją kochać, albo nie kochać, to już twoja rzecz. Jesteś dorosłym człowiekiem, masz swój rozum i ja ciebie nie przerobię. Lecz powinieneś się po ludzku zachowywać. Słowo honoru ci daję, że ze wszystkich, kogo znam, ty jeden tylko jesteś zdolny do czegoś podobnego. Ostatecznie, na miłość Boga, można być nie wiem kim, szubrawcem nawet, ale trzeba mieć jakiśkolwiek takt...

JANEK.

Skończcie wy już raz to!

ADA.

Tak, tak, nie mówmy... Ale bo ty sam zaczynasz. I przyznasz, że to może oburzyć.

TOPOLSKI.

Mniejsza o to.

HELENA.

Ciekawam, czy ona długo jeszcze będzie spała?

ADA.

Przyzwyczajona jest pewno długo sypiać...

TOPOLSKI.

Wcale nie... Co to znaczy zresztą przyzwyczajona? Jak się kto zmęczy, to śpi długo...

JANEK

(parska śmiechem).

TOPOLSKI.

A ty znów!... Słuchaj nie doprowadzaj mnie do pasy...

HELENA

(daje znak Topolskiemu).

JANEK.

Co takiego?

TOPOLSKI.

Nic... nic... *{do Heleny}*. Masz rację, wolę już udać, że nie widziałem.

ADA

(nachyla się — szepcze do ucha Heleny).

HELENA.

Inaczej tego nazwać nie można.

TOPOLSKI

(po dłuższym milczeniu).

Co prawda, wolałbym, żeby już wstała. Muszę wyjść na miasto...

HELENA.

Musisz wyjść... przed południem?

TOPOLSKI.

Koniecznien.

HELENA.

Umówiłeś się z kim ?

TOPOLSKI.

Tak...

ADA.

A po cóż na dziś?

TOPOLSKI.

Nie wiedziałem przecież, że przyjedzie... A zresztą to w jej własnej sprawie... Nasuwa mi się pewien świetny interes do zrobienia... Ale trzeba działać prędko.. *(z nagleni ożywieniem)*. Nie, ja wam mówię, że ja w ciągu dwóch lat podwoję kapitały Mani, zrobię z niej prawdziwą milionerkę.

ADA.

Mama słowo w słowo to samo dziś mówiła. Powtarzam jej własne wyrazy: jak Henryk weźmie w swoje ręce interesy Mani to zrobi z niej najbogatszą kobietę w Europie.

TOPOLSKI.

Dotychczas miałem ręce związane. Ja właściwie potrzebuję milionów. Wtedy można zakreślać szersze plany.

ADA.

Mama mówiła, że ty cały kraj uszczęśliwisz. Pojęcia nie masz, jaka była przejęta. Ja jej już potem nie pozwoliła mówić, bo się bałam, żeby jej to wzruszenie nie zaszkodziło... Biedaczka taka osłabiona... koniecznie by jej potrzeba na lato gdzieś za granicę wyjechać...

Scena druga.

CIŻ sami — MARYA.

MARYA

(ukazuje się we drzwiach. Wszyscy zryzywają się gwałtownie ze swoich miejsc i biegną na jej spotkanie).

ADA.

Mania! Jak się masz!

TOPOLSKI.

Wypoczęłaś! Wypałaś się dobrze?

MARYA.

Doskonale! Tak mię ta podróż zmęczyła, odrazu zasnęłam jak kamień.

ADA.

Ale się nic nie zmieniła, prawda? Nic a nic! Świetnie wygląda.

TOPOLSKI.

Teraz zmęczona jeszcze z drogi...

HELENA.

Co wolisz? kawę czy herbatę? zaraz ci każę przynieść.

MARYA.

Nie... nie... dziękuję ci... na nic nie mam chęci... Taki dziś śliczny dzień.

ADA.

To tak na twój przyjazd niebo się wypogodziło.

MARYA.

Tak tu u was w tym saloniku przyjemnie, wesoło... Takie ładne kwiaty.

HELENA.

To dla ciebie. Chciałam ci je przy łóżku ustawić, ale Henryk nie pozwolił mi wejść, żeby cię nie obudziła.

MARYA.

Ha... ha... ha... Henryk!...

TOPOLSKI.

Widziałem rano, żeś była tak strasznie zmęczona.

MARYA.

Bo ja od kilku dni, ani jednej nocy już nie spałam... Po tym twoim liście... nie umiem wam powiedzieć, co się ze mną działo... Noszę go przy sobie... do trumny mi go włożycie.

HELENA.

No... no... do trumny!... Jeszcze ty nas wszystkich przeżyjesz.

MARYA.

Mnie się to w głowie pomieścić nie może... Więc wy mnie naprawdę do siebie przyjmujecie.

TOPOLSKI

(*podchodzi, obejmuje ją w pól i całuje*). Tak szczerze, jak ja cię całuję.

HELENA.

I ja... (*Wszyscy otaczają ją kotem, ściskają i całują*).

MARYA.

Jacyście wy dobrzy... Dziękuję wam... Dziękuję... Ja teraz dopiero...

ADA.

Nie płacz Maniu.

HELENA.

Daj jej się wypłakać.

TOPOLSKI.

Będzie jej lżej potem na sercu...

(po chwili uroczystym głosem).

Więc tak moja Maniu. Przyjmujemy cię z powrotem do rodziny i jak tu wszyscy razem jesteśmy, jak najserdeczniej chcemy ci przebaczyć i zapomnieć wszystko. Wierzymy w to, żeś nie była złą, tylko lekkomyślną. Wyrośliśmy w ciężkich warunkach, nie mogłaś poznać życia, potem dałaś się na osłep unieść swojej wrażliwej naturze. Dobrze by było, gdybyś do Władysława wróciła, ale jeśli nie chcesz, to my cię nie będziemy do tego zmuszali... Każdy z nas to rozumie dobrze, że serce ma swoje prawa. Namyśl się zresztą i ochłoń z pierwszych wrażeń, a potem może sama wrócisz, gdy będziesz chciała... No, a teraz ja, który jestem jak gdyby twoim ojcem, bo ci go zawsze zastępowałem, gdy nam biedni rodzice pomarli, jeszcze raz ci powtarzam, że zapominamy o wszystkim, co było i zaczynamy razem nowe życie, które oby było szczęśliwsze od dawnego. Pójdź Maniu do mnie!.

ADA.

Jak on to ślicznie powiedział!...

MARYA.

Więc wy naprawdę...

(wzruszenie tamuje jej głos).

TOPOLSKI

(wstrzymuje ruchem ręki wszystkich, którzy się garną ku Mani).

Pozwólcie jej się wypłakać.

ADA

(ociera łzy).

Mnie samej na płacz się zbiera... taka śliczna chwila... Do końca życia nie zapomnę

MARYA

(ożywiając się nagle).

Tak... tak... zaczniemy nowe życie... Ja już z tą przeszłością zerwałam bezpowrotnie... Musicie mi zaraz wyszukać jakiegoś zajęcia.

HELENA.

Po cóż ci zajęcie?.

MARYA.

Ha... ha... ha... Boże jaka ja jestem szczęśliwa... Chcę pracować... chcę zarabiać...

TOPOLSKI.

Na to masz czas... Przedewszystkiem odpocznij po tych wszystkich przejściach.

MARYA.

Nie... nie... Wiem, że jesteście zamożni, ale wam ani chwili nie chcę być ciężarem.

HELENA.

Ciężarem? Co ty żartujesz?

TOPOLSKI.

Biedactwo... To ona tak ze wzruszenia... Kto ma taki majątek...

MARYA.

Ja muszę się z wami rozmówić.

TOPOLSKI.

Ależ na to znajdziemy jeszcze wiele czasu.

MARYA.

Nie, bo widzę, że wy nie zdajecie sobie sprawy z mego położenia. Otóż ja majątku wcale nie posiadam. Dlatego muszę pracować.

(*Wszyscy podbiegają ku niej przestraszeni*).

HELENA.

Co ona mówi?!

TOPOLSKI.

Jakto nie posiadasz?... Przecież ci zapisał?

HELENA.

Więc to była tylko plotka...

MARYA.

Nie... On mi zapisał, ale ja nie przyjąłem tych pieniędzy.

JANEK,

(*wstaje gwałtownie z fotelu*).

HELENA.

Nie przyjąłeś?

MARYA

Was to dziwi.

TOPOLSKI.

Pół miliona (*hamując się*). Nie, to trzeba wyjaśnić... Moi drodzy zostawcie nas na chwilę samych... na jedną chwilę.

HELENA

(*ściska się rękami za skronie*).

ADA.

Czy ci niedobrze?

HELENA.

Nie... nie...

(*Wszyscy powoli wychodzą*).

Scena trzecia.

MARYA. — TOPOLSKI.

TOPOLSKI

(*wchodzi w milczeniu po pokoju*).

Więc powiadasz, żeś się tego zapisu zrzekła?

MARYA.

Tak.

TOPOLSKI

(opryskliwie).

Ale mów wyraźnie, bo z tobą nigdy porozumieć się nie można... czy może masz zamiar dopiero się zrzec?

MARYA.

Nie, przecież mówię. Jużem się zrzekła.

TOPOLSKI.

Urzędowo?

MARYA.

Tak — — —

TOPOLSKI.

Ty chyba oszalałaś! Nie patrz tak na mnie... Pół miliona...

(znowu zaczyna gwałtownie chodzić po pokoju, naraz zatrzymuje się rozwiązuje nerwowo krawatę i rozpina kołnierzyk..

MARYA

(podbiegając ku niemu).

Henryk!

TOPOLSKI.

Daj mi spokój... Odejdź!

MARYA.

Ja was nie pojmuję...

TOPOLSKI.

Nie pojmujesz... Idealistka!...

MARYA.

Więc wy przyjęlibyście takie pieniądze?

TOPOLSKI.

Ty chyba po to tylko na świat przyszłaś, żeby się znęcać nad nami... Ach, daj mi spokój... nie wpatruj się tak we mnie, bo mnie apopleksya zabije.

MARYA.

Hm...

TOPOLSKI.

Chrzakaj... chrzakaj... dużo ci to pomoże... I nie pomyślałaś nad tem, że zrzekając się tych pieniędzy, okradasz własne dziecko

(chwytając się rękami za głowę).

Tak, okradasz... bez litości okradasz... O Jezus Marya !...

MARYA.

Heniu!...

TOPOLSKI.

Cicho!

(*chodzi po pokoju na chwilę przystaje*). I cóż ty teraz będziesz robiła?

MARYA.

Muszę się wziąć do jakiej pracy.

TOPOLSKI.

Do pracy...

MARYA.

Musicie mi dopomóżd... Ty masz tyle stosunków.

TOPOLSKI,

Tak! Będę biegał po mieście i szukał jakiego zajęcia dla siostrzyczki, której się wesołe przygody znudziły... O... nie, moja droga, tego się nie spodziewaj!...

MARYA.

A...

TOPOLSKI.

Taki skarb mieć w ręku i zmarnować... Ja cię do szpitala waryatów zamknąć każę, rozumiesz, do szpitala waryatów! (*po kilku chwilach ochłonąwszy ze wzruszenia. — spokojniejszym głosem*). Rób sobie, co chcesz... ale na nas nie licz wcale. Chcieliśmy ci dopomóżyć, lecz wobec takiego pewnego szyderstwa...

MARYA.

Szyderstwa!

TOPOLSKI.

Proszę cię bez tych ironicznych uwag... Mogłaś się zrehabilitować... nie chciałaś tego... my także...

MARYA.

Prostu wypędzacie mnie...

TOPOLSKI.

Masz męża (*wbiega Ada*).

ADA.

Henryku chodźno, Heli się niedobrze zrobiło... mdleje... spazmuje, nie możemy jej uspokoić. (*Topolski macha beznadziejnie ręką wychodzi. Ada i Marya mierzą się przez chwilę oczami. Marya wychodzi przez boczne drzwi mijając w progu Janka*).

Scena czwarta.

ADA — JANEK — *później* OLSZEWSKI.

JANEK.

Czemuż tamta znów warjuje?

ADA.

Janku, jak ty się wyrażasz.

JANEK

(*wzrusza ramionami, po chwili*).

Ja myślę, że ta nasza siostrzyczka to jest naprawdę...
(*pokazuje na czoło*).

ADA.

Mama dziś to samo mówiła.

JANEK.

To samo... to samo... Mogłaby z kart wróżyć.

ADA.

Mój Janku.

JANEK.

Nie kłóć się... Dużo mnie to obchodzi, co mama mówiła. Taki jestem wściekły, że ludzi bym mordował
(*słychać pukanie do drzwi*). A tam kto znowu?...

ADA.

Może lekarz... Heli się niedobrze zrobiło (*podbiega ku drzwiom, w progu ukazuje się Olszewski*).
A!... to pan!...

OLSZEWSKI.

Przychodzę właśnie złożyć moje najserdeczniejsze życzenia, w tym tak prawdziwie uroczystym dniu dla państwa.

ADA.

Tak...

JANEK

(*nie rusza się z miejsca. Olszewski patrzy na niego zmięszany, nie wie czym sobie tę obojętność wytłómaczyć*).

OLSZEWSKI.

Czułem się niezmiernie uszczęśliwiony, otrzymawszy zaproszenie na to rodzinne święto...

ADA.

Hela trochę zasłabła.

OLSZEWSKI.

Może z wrażenia. Pan Jan widzę także ogromnie wzruszony. Ale ja to przyznaję. Właściwie wizyta człowieka obcego w takiej chwili, choćby był nawet jak najżyczliwiej dla rodziny usposobiony, zapewne jest zbyteczna.

JANEK.

Najzupełniej.

OLSZEWSKI

(*cofa się krok ku drzwiom*).

ADA.

Janku! (*chwyta się rękami za głowę*). Panie Olszewski, niechże pan tego za złe nie bierze... Janek jest tak wzruszony... On to mimowoli.

OLSZEWSKI.

Przykro mi bardzo, nie ośmieliłbym się nigdy, gdybym nie otrzymał wyraźnego zaproszenia.

ADA.

Janku przeproś ze pana Olszewskiego!

JANEK.

Przepraszam, a zresztą, co mnie to wszystko obchodzi. Dwa blankiety dyabli wzięli.

(*Wyjmuje z kieszeni weksle i drze je gwałtownie*).

Koniec.